W NUMERZE: Międzynarodowy Dzień Teatru ■ Papierowa nowoczesność ■ Do zwrotowni i spod lady ■ Witkacy ■ Notatnik syryjski ■ Musziluanda ■ Felietony ■ Recenzje ■ Magazynek — 1/3

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 13 (1164) ROK XXIII | 30 MARCA 1980 R. | CENA 3 ZŁ

TEATR PRZEDE WSZYSTKIM

ROZMOWA Z BOGDANEM BAEREM

...połączenie świeżości emocji z mistrzostwem technicznym.

Foto: R. Łucyszyn

Bogdan Baer — dziesiątki ról teatralnych i filmowych, kreacje radiowe i telewizyjne, małe arcydziełka tworzone na estradzie kabaretu i zaskakujący nawet tych, którym zdało się, iż znają już granice jego talentu, a uwieńczony sukcesami, udział w spektaklach operowych...(!) Trzydzieści lat działalności artystycznej, u której podstaw leży prawdziwa, twórcza pasja i niespożyty zapał, z jakim przed oczami widzów buduje wielkie lub małe światy granych przez siebie postaci...

Skomponowane przez autorów i reżyserów partytury działań aktorskich Bogdan Baer zawsze realizuje do końca, do ostatniego najdrobniejszego rysu, najmniejszej nuty. Wypełniając bez reszty te teatralne, aktorskie partytury, Bogdan Baer konkretyzuje, często ledwie tylko zarysowane, wizje kreowanych przez siebie postaci, w sposób tak sugestywny i plastyczny, że wydaje się on jedyny, a pomaga mu w tym jakiś wyjątkowy zgoła, sceniczny słuch, jakiś szósty zmysł konstrukcyjny, wsparty znakomitym wyczuciem praw i wymagań sceny. Kreowane przez Baera postacie, jakby organicznie rodzące się z ducha tekstu, noszą na sobie piętno jego osobowości.

Role Przepiórki w „Vatzlavie" i Geronta w „Lekarzu mimo woli" przyniosły Bogdanowi Baerowi Srebrny Pierścień — doroczną nagrodę przyznawaną przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi za najwybitniejsze osiągnięcia aktorskie.

— Serdecznie gratulujemy.

— Za gratulacje oczywiście bardzo dziękuję i nie czekając na pytanie, powiem od razu, że niezwykle się z tej nagrody cieszę. Ma ona dla mnie dwa bardzo istotne aspekty: jest nagrodą artystyczną i nagrodą łódzką. Ten pierwszy walor pozwala mi traktować fakt jej otrzymania jako najbardziej realny dowód pokonania przeze mnie poprzeczki, podnoszącej się w naszym zawodzie w zgoła sportowym tempie, mogę też — jak sądzę — z tego właśnie dowodu, wnosić o swojej aktualnej formie i — jeśli można pozostać przy terminologii sportowej — nadal i jeszcze usilniej nad nią pracować, bo w moim przypadku skonstatowanie jakiegoś stanu nigdy nie oznacza jego akceptacji. Nie jest zatem ów Pierścień zwierciadłem, w którym przeglądałbym się z lubością czy zachwytem i aczkolwiek nie uwiera, to jednak jakoś dziwnie mocno (i miło — to prawda) skłania mnie do dalszych działań. Drugi z wymienionych na początku walorów tej bardzo dla mnie zaszczytnej nagrody, to fakt, że jest nagrodą łódzką. Jestem „wielopokoleniowym" warszawiakiem, ale Łódź ma w moim życiu artystycznym szczególne miejsce i prawdę mówiąc zajęła większą jego część.

— Pana związki z Łodzią datują się...

— od 1946 roku, kiedy okropnie zdyszanym pociągiem przyjechałem do tego miasta, by z wyuczoną i wyćwiczoną po drodze tuwimowską „Lokomotywą" stanąć przed komisją egzaminacyjną w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. Egzamin się powiódł, osobowości i talent pedagogów (a byli wśród nich m.in. Leon Schiller, Aleksander Zelwerowicz, Józef Węgrzyn, Bohdan Korzeniewski i Jacek Woszczerowicz), uczyniły nasze studia wspaniałą, wielką przygodą, no a potem „stał się" prawdziwy teatr.

— Czy jego kształt odpowiadał młodzieńczym wyobrażeniom o świątyni Melpomeny?

— W zasadzie tak. Moi wspaniali pedagodzy uczyli mnie zasad dobrego teatru i rzemiosła. Dzięki nim wykreowałem więc sobie wizję takiego właśnie teatru, który byłby domem i miejscem nieprzeciętnych zdarzeń artystycznych — głębokich i ludzkich wzruszeń — w połączeniu z bogatym, pełnym i barwnym aktorstwem. Zresztą wszyscy zachłystywaliśmy się tą wizją. My wszyscy byliśmy tego teatru po prostu spragnieni.

Przez lata świeżej jeszcze wtedy w pamięci okupacji marzyliśmy o nim, a gdy już wreszcie powstał, nie chcieliśmy z niego wychodzić. Był dla nas wszystkim. Miejscem pracy — oczywiście tak, sala studyjna — także, ale przede wszystkim był domem. Przebywaliśmy w nim od rana do wieczora i od wieczora do rana. Pamiętam całonocne próby Leona Schillera. Przychodziliśmy na nie z własną „wałówką", trwały po kilkanaście godzin, kto mógł, ten w czasie krótkich przerw zasypiał na chwilę, by zregenerować siły, by jak najdłużej i najpełniej uczestniczyć w tym niepowtarzalnym zjawisku, jakim były próby teatralne z wielkim artystą sceny. Całą grupą, wtedy jeszcze studencką, braliśmy udział w jego inscenizacji „Kramu z piosenkami" i rozpierała nas duma, że mogliśmy być mu pomocni — jeśli jeszcze nie umiejętnościami, to samą obecnością. Chłonęliśmy ten teatr i może dlatego on tak nas wchłonął. Prawdą jest, że na aktora nie czyhało wtedy tyle co dziś pokus. Filmów powstawało niewiele, telewizji nie było wcale. Mogliśmy poświęcić się teatrowi bez reszty. Wszystkie nasze marzenia wiązały się ze sceną. Ona była miejscem ich realizacji, bo przecież po la-

Dalszy ciąg na str. 4

ŁÓDKI I PIERŚCIENIE

W związku z Międzynarodowym Dniem Teatru przyznane zostały w Łodzi tradycyjne nagrody za działalność artystyczną w dziedzinie teatru. Poszerzono zakres nagród, obejmując nimi wszystkie łódzkie placówki teatralne.

Nagrodę „Srebrnej Łódki", fundowaną przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, jury przyznało w dziale przedstawień dramatycznych Teatrowi im. J. Tuwima za spektakl „Odprawa posłów greckich" wg. Jana Kochanowskiego, w reżyserii Józefa Jasielskiego i scenografii Ryszarda Kuzyszyna. Kontrkandydatami były przedstawienia Teatru Nowego — „Vatzlav" S. Mrożka i „Bogusławski" W. Rapackiego.

W dziale przedstawień dla młodego widza nagroda ta przypadła w udziale Teatrowi Powszechnemu za spektakl „Piotruś Pan" J. M. Barrie w reżyserii Romany Kamińskiej i Bronisława Wrocławskiego, ze scenografią Tadeusza Paula.

„Srebrnymi Pierścieniami", których fundatorami są: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi oraz oddział łódzki Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, obdarowani zostaną Bogdan Baer — za rolę Geronta w „Lekarzu mimo woli" Moliera i Przepiórki w „Vatzlavie" Mrożka — przedstawieniach Teatru Nowego oraz Włodzimierz Zalewski — za tytułową rolę w „Zorbie" Candera w Teatrze Wielkim.

Rozstrzygnięto również coroczne konkursy teatralne „Głosu Robotniczego". Bogusław Semotiuk z Teatru Nowego otrzymuje nagrodę za najlepszy debiut; za najpopularniejszy spektakl uznano w plebiscycie „GR" — molierowskiego „Lekarza mimo woli" w Teatrze Nowym.

Wszystkim wyróżnionym gratulujemy.

POWIĘKSZANIE TEATRALNEJ RODZINY

TOMASZ SOLDENHOFF

Gdyby pokusić się o analizę wieku publiczności naszych teatrów, okazałoby się, że największą jej część stanowi młodzież. Ale to zainteresowanie nie spotyka się z wzajemnością. W polskim życiu teatralnym sceny młodego widza zajmują miejsce bardzo skromne.

Dzieje się więc inaczej, niż np. w NRD czy Związku Radzieckim, gdzie w stolicy każdej republiki działa teatr dla młodzieży. Były co prawda i u nas próby tworzenia takich teatrów w latach pięćdziesiątych. Usychały one jednak szybko — głównie z braku repertuaru, inicjatywy twórców, a także z obojętności krytyki.

Dziś w różnych wypowiedziach — także oficjalnych — pojawia się niepokój: Czy nie przegapiliśmy jakiejś szansy? Jest bowiem faktem, że gdy około dwunastego roku życia wyrasta się z teatru lalek, w teatralnej edukacji młodego widza tworzy się dotkliwa luka.

Sztuki dla młodzieży składają się na 7—8 proc. całego rocznego repertuaru naszych scen dramatycznych. Tymczasem — paradoksalnie — coraz częściej okazuje się, że te właśnie nieliczne sztuki „młodzieżowe" żyją w „dorosłych" teatrach najdłużej, bijąc rekordy frekwencji (zresztą na brak zainteresowania widzów nie narzekały także istniejące w latach 50 sceny młodego widza).

A młodzież uparcie ponawia swoje apele o poważne traktowanie jej potrzeby — i chęci — uczestnictwa w życiu teatralnym. Chce nie tylko oglądać sztuki o jej sprawach i problemach, ale również być partnerem i współgospodarzem teatrów, brać na co dzień udział w kształtowaniu ich programu i repertuaru.

Najnowszą odpowiedzią na te postulaty jest inicjatywa Teatru Ziemi Łódzkiej, który pod zmienioną nazwą — Teatru im. Juliana Tuwima, rozpoczął kolejny rozdział swej blisko trzydziestoletniej działalności, ukierunkowanej od niedawna na przyciąganie młodego widza.

Idea przemodelowania tej sceny pokutowała od kilku lat, lecz realnych kształtów nabrała dopiero w wyniku ożywionej współpracy TZŁ z łódzkimi szkołami, a zwłaszcza z Pałacem Młodzieży, który od pewnego czasu udostępnia teatrowi swoją bazę i dzieli się doświadczeniami w pracy z młodzieżą. Z owych kontaktów, które tylko potwierdziły konieczność wypełnienia luki, o której była mowa, zrodziła się koncepcja nowego teatru. Teatru z repertuarem adresowanym głównie do młodzieży, ale nie kryjącego zarazem nadziei,

Dalszy ciąg na str. 5

CZAS WOLNY RADOŚĆ CZY UTRAPIENIE?

czytaj strona 3

KRONIKA KULTURALNA

Uroczysty charakter miało spotkanie pracowników Państwowego Przedsiębiorstwa „Dom Książki", które — z okazji jubileuszu 30-lecia tej instytucji — odbyło się 15 marca br. w Muzeum Historii Miasta. Przybyli na nie m. in. sekretarz KŁ PZPR Genowefa Adamczewska i dyrektor Zjednoczenia Księgarstwa — Kazimierz Majerowicz. Zebrani wysłuchali dyrektora przedsiębiorstwa — Hieronima Reiniaka, który mówił o działalności „Domu Książki" w województwach łódzkim, piotrkowskim, sieradzkim i skierniewickim. Najbardziej zasłużonym pracownikom wręczono odznaczenia i nagrody. Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Ryszard Dynarzewski, Walentyna Milczarek i Krystyna Wołoszyn. 5 osobom wręczono nagrody dyrektora Wydz. Kultury UMŁ, a 21 — odznaki „Wzorowy Księgarz", I, II i III stopnia. Za zasługi dla oświaty PP „Dom Książki" w Łodzi przyznano Medal Komisji Edukacji Narodowej.

* * *

Inne jubileusze, tym razem w teatrach... 25-lecie święcił Studencki Teatr „Pstrąg", placówka Socjalistycznego Związku Studentów Polskich przy Uniwersytecie Łódzkim wyróżniony Honorową Odznaką Miasta Łodzi i Złotą Odznaką Zrzeszenia Studentów Polskich. Z tej okazji 15 marca br. odbyła się nowa premiera pt. „Mitologia słowiańska", natomiast następnego dnia — w Bibliotece UŁ — otwarta została wystawa dokumentacji teatru „Pstrąg" z lat 1955—1980 oraz seminarium teatrologiczne, zorganizowane przez Instytut Teorii Literatury Teatru i Filmu UŁ przy współudziale „Pstrąga". Uroczystości jubileuszowe wzbogacone zostały występami angielskiego teatru kierowanego przez Faynie Williamsa — ze spektaklem „Gogol" Richarda Crane.

31 marca 30 lat obchodzić będzie Państwowy Teatr Lalek „Arlekin". W programie imprez jubileuszowych znajdują się: spotkanie pracowników z władzami miasta, odczyt „Arlekin — wśród swoich i obcych" Henryka Jurkowskiego, prezentacja spektakli „Od zimy do zimy" i „Piotruś i wilk", zwiedzanie wystawy „Od Turonia do Colargola" oraz prapremiera nowej sztuki pt. „Historia Paryża królewicza trojańskiego". Do obchodów rocznicowych przygotowują się również dwa inne łódzkie teatry: Powszechny oraz „Pinokio".

* * *

14 marca br. przebywał w Łodzi prof. Stanisław Lorentz — wieloletni dyrektor Muzeum Narodowego, inicjator odbudowy Zamku Królewskiego. Prof. Lorentz przyjęty został przez prezydenta m. Łodzi — Józefa Niewiadomskiego; następnie gość spotkał się z łodzianami w Bibliotece im. Waryńskiego.

* * *

Przez dwa dni trwał w Łodzi I Ogólnopolski Przegląd Filmów Reklamowych, zorganizowany starania Wydziału Kultury UMŁ, Min. Kultury i Sztuki przy współudziale 6 innych instytucji. Na przegląd zgłoszono 120 filmów, z których jury — pod przewodnictwem B. Drozdowskiego — oceniało 60. Podczas 4-godzinnej projekcji zaprezentowano reklamówki produkcji „Polfilmu", PA „Interpress", „Artelu", WFO, WFD „Semafora" Studia Miniatur Filmowych, Studia Filmów Rysunkowych w Bielsku. Odbyły się również: pokaz filmów zagranicznych i seminarium teoretyczne poświęcone filmowi reklamowemu. Przeglądowi towarzyszyła wystawa najnowszej produkcji FSO na Żeraniu.

* * *

Ponad 70 filmów lalkowych, rysunkowych, wycinankowych i aktorskich wyprodukuje się w tym roku w Łódzkim Studio Małych Form Filmowych „Semafor", największej tego typu wytwórni w kraju. Jak poinformowała przedstawicieli prasy zastępca dyrektora d.s. artystycznych wytwórni Jadwiga Wendorff, wśród filmów adresowanych dla najmłodszej widowni znajdują się m. in. kontynuacja dwu popularnych serii — „Przygody kota Filemona" i „Miś Uszatek" nowa seria „Opowiadania Muminków" (w koprodukcji z Austrią), a także szereg filmów krótkich przeznaczonych dla TV, m. in. „Eliasz i Pistułka", film oparty o stare legendy śląskie, „Plastusiowy pamiętnik" wg. książki M. Kownackiej i „Opowieści panny Wiselki". Dodajmy również, że w tym roku odbyła się już premiera znanej serii z misiem Colargolem („Colargol i cudowna walizeczka"), a z myślą o prezentacji filmów pełnometrażowych powołano w kinie „Teatry" — „Kino Najmłodszego Widza", służące konfrontacji oczekiwań dzieci w tej dziedzinie z planami twórców. W najbliższym czasie w łódzkiej PWSFTviT uruchomione zostanie — wespół z „Semaforem" — podyplomowe studium reżyserii animacji.

W połowie marca w „Semaforze" odbył się pokaz najnowszej produkcji filmowej. Zaprezentowano filmy: „Pejzaż" reż. J. Kończyńskiego, „Jak w bajce" reż. S. Lenartowicza, „5/4" reż. H. Neumanna, „Zabawa" reż. J. Kędzierzawskiej wg pomysłu W. Karolaka, „Dwa listy" reż. K. Krauzego, „Smacznego" reż. Janusza Poloma i „Koń" reż. R. Szymczaka.

* * *

Powstanie w Łodzi Muzeum Filmu. Jego celem będzie gromadzenie i eksponowanie kostiumów, rekwizytów i elementów scenografii pochodzących z najlepszych polskich filmów. Znajdzie się tu również dział techniki filmowej oraz historii filmu. Przewiduje się także zorganizowanie wystawy plenerowej, prezentującej rekwizyty wielkowymiarowe. Głównym organizatorem nowej placówki jest Muzeum Historii Miasta Łodzi. Apeluje ono do wszystkich wytwórni o przekazywanie ciekawych eksponatów. Zalążkiem nowego muzeum będą rekwizyty z filmu „Królowa Bona".

* * *

Dwóch łódzkich plastyków uhonorowano nagrodami na X Festiwalu Malarstwa Polskiego Współczesnego w Szczecinie. Jacek Trojan — niedawny absolwent PWSSP w Łodzi — otrzymał nagrodę „Kuriera Szczecińskiego" zaś Jacek Bigoszewski — adiunkt Wydz. Malarstwa i Grafiki tejże PWSSP — nagrodę Telewizji Szczecińskiej.

* * *

Nową akcję kulturalną podjął „Express Ilustrowany", tym razem z myślą o najmłodszych widzach. Współorganizatorem akcji „Z Expressem do kina" jest Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów. Ostatnio — w „Przedwiośniu" wyświetlany był zestaw bajek polskich pn. „Pantofelek Kopciuszka". Projekcję poprzedziło spotkanie z pracownikiem łódzkiego ZOO, połączone z prezentacją zwierząt.

* * *

Z nowych wystaw 27 marca br. ZPAP i BWA zapraszają do Galerii Bałuckiej na otwarcie wystawy malarstwa Józefa Osińskiego (1910—1979). Natomiast — nawiązując do informacji z poprzedniej Kroniki" dotyczącej wystawy nie znanych rysunków Mai Berezowskiej — informujemy, że ilustracjami do „Łatek na szachownicy" Jana Sztandyngera zainteresowało się Wydawnictwo Łódzkie które przygotowuje wznowienie tomu fraszek i zamierza uzupełnić część graficzną książki o nowy zestaw wykonanych tuszem rysunków zmarłej niedawno artystki.

* * *

W dniach od 25 do 30 marca br. odbywa się — już po raz dwudziesty — „Poznańska Wiosna Muzyczna", poświęcona prezentacji dorobku współczesnych kompozytorów polskich.

W tegorocznym programie — obok utworów T. Bairda, K. Pendereckiego K. M. Góreckiego G. Bacewicz, K. Serockiego — swoje prawykonanie mieć będą „Etiudy na fortepian" łódzkiego kompozytora, dyrektora Teatru Wielkiego — Andrzeja Hundziaka. Wykonawczynią będzie również łodzianka — Anna Wesołowska-Firley.

* * *

Zakończyły się łódzkie eliminacje XIX Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej. I miejsce zajęła Ewa Rutkowska z Łódzkiego Domu Muzyki, II — zespół wokalny „Akolada" również z ŁDM, a III — Bogdan Leśniewski z ZDK „Pamotex" w Pabianicach. Laureaci reprezentować będą nasze województwo w centralnych eliminacjach przed festiwalem w Zielonej Górze, które odbędą się w kwietniu w Radomiu.

* * *

21 marca br. w Domu Środowisk Twórczych odbyła się pierwsza edycja „Promocyjnego Salonu Piosenki" nowej imprezy muzycznej, której założeniem jest prezentacja wyróżniających się piosenkarzy i zespołów muzycznych ruchu amatorskiego. Wzięły w niej udział dwa zespoły wokalno-instrumentalne uprawiające piosenkę autorską i poetycką: Grupa Wokalna „Wahadło" z Łodzi i zespół „Fresk" z Pabianic.

* * *

W sierpniu ub. roku zamknięto młodzieżowy klub „Maxim" (działający pod egidą stołecznego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Rozrywkowych) przy ul. Piotrkowskiej 52. Nowym użytkownikiem ma być Łódzki Zakład Imprez Plenerowych. Wedle nowego programu „Maxim" — po okresie złej sławy — ma stać się klubem nocnym, wyposażonym w dyskotekę, salę bilardową, brydżową i kuchnię wschodnią.

* * *

W „Iwanowie", „Polonii", „Włókniarzu" i „Przedwiośniu" zaczyna się 31 marca br. przedsprzedaż karnetów na „Konfrontacje-79".

DNI KULTURY RADZIECKIEJ

18 kwietnia rozpoczną się w naszym kraju Dni Kultury Radzieckiej. W Łodzi będą one miały szczególnie atrakcyjny program, m. in. ze względu na przewidywaną wizytę baletu Teatru Wielkiego ZSRR z Moskwy.

W Teatrze Wielkim „Dni" otworzy (19 kwietnia) spektakl baletowy — **„Gajane" Arama Chaczaturiana**, będący od lat „wizytówką" łódzkiego teatru. Jego choreografię opracował, jak pamiętamy, **Borys Ejfman z Leningradu.**

Następnego dnia, w spektaklu „Aidy" Verdiego wystąpi gościnnie, w partii Amneris, **Ludmiła Szemczuk**, laureatka wielu międzynarodowych konkursów wokalnych, zdobywczyni I nagrody i złotego medalu w Konkursie im. Piotra Czajkowskiego (Moskwa — 1978), solistka Teatru Wielkiego ZSRR.

I wreszcie, słynny balet moskiewski. Wraz z jego zespołem przyjadą światowej sławy soliści: **Swietłana Andrychajewa, Natalia Biezsmiertnowa, Nadieżda Pawłowa, Borys Akimow, Aleksander Bogatyriow, Michaił Cywin, Wiaczesław Gordiejew, Michaił Ławrowski.** 25 i 27 kwietnia obejrzymy w wykonaniu gości **„Spartakusa" Arama Chaczaturiana**, 26 i 28 kwietnia — balet **„Romeo i Julia" Prokofiewa.** Twórcą obu przedstawień jest **Jurij Grigorowicz**, znakomity choreograf, dyrektor Baletu Teatru Wielkiego ZSRR.

Scena ze „Spartakusa" Arama Chaczaturiana.

LISTY DO REDAKCJI

„ZMARTWIENIA STAROŚCINY"

Z żywym zainteresowaniem przeczytaliśmy artykuł pt. „Zmartwienia starościny" („Odgłosy" z dnia 16.III.br.) i w pełni solidaryzujemy się zarówno z autorem, jak i bohaterką publikacji, panią Barbarą Rytych. Dobrze się stało, że wreszcie zaczęto szczerze mówić o trudnym życiu kobiet wiejskich, a jeszcze lepiej, że sprawy te porusza posłanka na Sejm.

Zdajemy sobie sprawę jednak, że nie wszystko może być rozstrzygnięte w Sejmie. Aby uniknąć kłopotów, potrzebne jest żywe zainteresowanie sprawami kobiet ze strony władz gminnych. A są to rzeczy drobne, jak chociażby uruchomienie magla we wsi, zaopatrzenie sklepu w środki do prania, bezpieczny dowóz dzieci do szkoły itp. Tego nie załatwi się centralnie, to można zrobić na miejscu, własnymi siłami. Wystarczy tylko trochę dobrej woli, życzliwości. Ryszard Binkowski pisze, że ziemię powinien uprawiać ten, kto się urodził na wsi. To prawda. Ale i sprawowanie władzy na wsi wymaga głębokiej znajomości spraw, jakie martwią rolników.

T.R.
(woj. piotrkowskie)

„ZAWÓR"

Pan Frejdlich w nr 7 „Odgłosów" opowiada się za automatyczną regulacją centralnego ogrzewania. Jeśli dane, które przedstawił, są prawdziwe, to sam stanę się zwolennikiem tego nowego systemu, bo jak na razie, to mieszkania nasze są niedogrzane. A na dodatek zbyt często centralne się wyłącza. I to już nie dlatego, że nawaliła magistrala ciepłownicza. Po prostu wysiadają panelowe kaloryfery i gorąca woda wylewa się na podłogę. Czy stać nas na to, żeby wymieniać grzejniki co dwa, trzy lata? Jeśli dalej będą miały taką fatalną jakość, to i Huta „Katowice" nie nastarczy z produkcją żelaza, żeby uzupełnić braki.

A póki co, to dziwi mnie beztroska Zakładu Sieci Cieplnej. Każe nam się uszczelniać okna i drzwi, aby zapobiec ucieczce ciepła z mieszkań. A co się dzieje na ulicy Dąbrowskiego między Tatrzańską i Niższą? Już ponad rok nie zasypano wykopów magistrali cieplnej i drogocenne ciepło ucieka sobie w powietrze. To ludzi denerwuje, bo uczy się ich patrzeć po gospodarsku, a tu taka beztroska. To samo dzieje się pod bokiem elektrociepłowni. Samochody jeżdżą w obłokach ulatniającej się pary. Panowie fachowcy zamiast naprawić magistralę, zatknęli w ziemię rurę, która dymi sobie ciepłem. Jak długo jeszcze? Stan ten trwa od lat, często tam przejeżdżam tramwajem to widzę wszystko i krew mnie zalewa. Szkoda, że tych widoczków nie oglądają dziennikarze. Może wtedy artykuł pana Frejdlicha byłby mniej entuzjastyczny.

Namawia się nas na każdym kroku do oszczędności, ale instytucje są widocznie bogate, ich to nie dotyczy. A może za to ulatujące ciepło zapłacimy my, lokatorzy, wliczone nam zostanie do czynszu. W razie wydrukowania mego listu proszę nie podawać mego nazwiska i adresu. Jeszcze mi przez zemstę wyłączą kaloryfery.

(Nazwisko i adres znane redakcji)

NA „MANHATTANIE"

Chciałbym uzupełnić paroma uwagami artykuł T. Soldenhoffa „Na Manhattanie", który ukazał się w numerze 11 „Odgłosów". Autor poruszył w nim wiele autentycznych bolączek i drażliwych kwestii, dotyczących zagospodarowania osiedla oraz integracji mieszkańców wokół samorządu, który jest przecież ich reprezentantem.

Działacze ŁSM bronią za wszelką cenę prawa mieszkańców do pomieszczeń znajdujących się na VII piętrach trzech bloków ŚDM. Istotnie, decyzja rady spółdzielni o przyznaniu tych pomieszcze biurom „Inwestoprojektu" naruszyła prawa rady osiedla do współdecydowania o obliczu tej części miasta. Ale czy można powiedzieć, że dotyczyła ona również samych mieszkaców, że dotknęła ich do żywego? Z moich obserwacji wynika, że wielu mieszkańcom sprawy ŚDM i samorządu są obojętne. Sami mieszkańcy nie są bowiem zainteresowani w egzekwowaniu swych praw i sądzę że integracja wokół wspólnych celów jest jeszcze sprawą dalekiej przyszłości. Przykładem może być frekwencja na wyborach do komitetów blokowych, a także „zainteresowanie" mieszkańców otwarciem nowego klubu, gdzie, oprócz samej rady osiedla i przedstawicieli zarządu spółdzielni, było dosłownie parę osób. Sądząc po obecnym „zaangażowaniu" mieszkańców, obawiam się, że gdyby rzeczywiście mieszkańcom przypadł luksus dysponowania tymi dodatkowymi pomieszczeniami, to niewiele mieliby oni do zaproponowania.

L.H.
(nazwisko i adres znane redakcji)

* * *

Odpowiadając na uwagę krytyczną dotyczącą funkcjonowania telefonów w Parzęczewie zawartą w artykule pt. „Złota Wiecha" z dnia 27.I.80 r., Wojewódzki Urząd Telekomunikacji w Łodzi uprzejmie wyjaśnia, że przyczyną wadliwej pracy telefonów w Urzędzie Gminy w Parzęczewie było uszkodzenie kabla telefonicznego doziemnego o długości około 650 m.

Ponieważ warunki zimowe nie zezwalały na odkopywanie zmarzniętej ziemi na znacznej długości, w dniu 18.12.79 r. podwieszono prowizorycznie kabel instalacyjny.

Obecnie telefony Urzędu Gminy pracują sprawnie, a naprawa uszkodzonego kabla doziemnego zostanie ostatecznie dokonana w okresie wiosennym.

inż. Z. ROMANOWSKI
z-ca dyr. d.s. urządzeń sieciowych

NAGRODY WOJEWÓDZTWA SIERADZKIEGO

Komisja Nagród Województwa Sieradzkiego informuje, że Wojewódzka Rada Narodowa w Sieradzu przyznaje corocznie 5 nagród województwa sieradzkiego za:

- osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania kultury w zakresie rozwoju amatorskiego ruchu artystycznego, upowszechniania twórczości ludowej, organizowania i rozwijania społecznych form pracy kulturalno-oświatowej;
- osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania kultury w zakresie literatury i publicystyki, muzyki, plastyki;
- wybitny wkład pracy naukowej w rozwój społeczno-gospodarczy i kulturalny regionu, a w szczególności za wdrażanie rezultatów i wyników podejmowanych badań naukowych;
- wybitne osiągnięcia w dziedzinie techniki, racjonalizacji i wynalazczości, służące rozwojowi społeczno-gospodarczemu regionu;
- wybitne zasługi w dziedzinie rozwoju produkcji rolnej, lub za podejmowanie czynów społecznych służących rozwojowi gospodarczemu i kulturalnemu wsi.

Wnioski o przyznanie nagród mogą składać naczelne i wojewódzkie organa administracji państwowej, komisje Wojewódzkiej Rady Narodowej, zarządy główne i wojewódzkie związków zawodowych, stowarzyszeń twórców oraz organizacji społeczno-kulturalnych, wyższe uczelnie, placówki naukowo-badawcze, stowarzyszenia naukowo-techniczne, instytuty naukowe oraz dyrekcje zakładów pracy, organów władzy i administracji państwowej stopnia podstawowego.

Nagrody przyznawane są corocznie z okazji Święta Odrodzenia. Nagradzane mogą być osoby z województwa sieradzkiego, jak i spoza — wyróżniające się szczególnymi osiągnięciami i wkładem pracy w rozwój regionu.

Wnioski należy kierować do sekretariatu komisji nagród województwa sieradzkiego, mieszczącego się w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu, ul. Nenckiego 39 — w terminie do 20 kwietnia 1980 roku.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KĘPIŃSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

MAŁGORZATA GOLICKA

CZAS WOLNY RADOŚĆ CZY UTRAPIENIE?

Czas wolny — marzenie gospodyni domowej i męża stanu. **Nareszcie nic nie robić** — wzdycha nie jeden z nas — **móc leżeć w łóżku do południa, czytać książki, pojechać na ryby, odnowić mieszkanie, chodzić regularnie na lekcje francuskiego.**

Pojęcie czasu wolnego jest bardzo subiektywne, tak dalece, że istnieją trudności z jego zdefiniowaniem. Najbardziej trafia do przekonania definicja sformułowana na użytek UNESCO przez francuskiego socjologa, J. Dumazediera: **Czas wolny, to różnorodne zajęcia, które człowiek może wykonywać dobrowolnie jako wypoczynek, rozrywkę, lub dla rozwoju zasobu wiadomości, dla bezinteresownego kształcenia, dla spontanicznego udziału w życiu społecznym, po wypełnieniu obowiązków zawodowych i społecznych.**

W ten sposób pojęty czas wolny podkreśla emocjonalny, indywidualny stosunek do każdego zajęcia i zakłada możliwość wyboru. To, co bowiem dla jednego z nas jest udręką i ciężką pracą, np. nauka języka obcego, obowiązkiem — odrabianie lekcji z dziećmi czy gotowanie, koniecznością — zakupy, sprzątanie, dla drugiego może być samą przyjemnością, zajęciem chętnie wykonywanym w czasie wolnym od pracy zawodowej.

Czas wolny dopiero od niedawna jest przedmiotem naukowych dociekań, choć już starożytni doceniali jego znaczenie dla jakości życia. To przecież sam Arystoteles pisał, iż czas wolny nie jest końcem pracy, a praca jest końcem czasu wolnego, który powinien być poświęcony sztuce, nauce, a przede wszystkim filozofii, zaś Diderot głosił, że historia czasu wolnego jest najważniejszą częścią naszego życia. Marks przewidywał nadejście takich czasów, kiedy miernikiem bogactwa nie będzie już czas pracy, lecz czas wolny.

Współcześnie zypisuje się czasowi wolnemu ogromne znaczenie, uznając, iż właśnie czas wolny pozwoli podnieść na wyższy poziom wartość życia i przyśpieszyć awans cywilizacyjny. Badania nad czasem wolnym prowadzone są u nas jeszcze w skromnych rozmiarach, sporadycznie, przez socjologów, ekonomistów i pedagogów w różnych miastach, a na większą skalę przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych.

Szukając literatury przedmiotu znalazłam najwięcej pozycji pióra dr Józefa Penca, adiunkta Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych w Uniwersytecie Łódzkim. Można by go więc uznać za eksperta, choć on sam uparcie broni się przed nadaniem mu tego miana. Proponuję jednak nie walczyć ze skromnością autora (jest to dziś wartość zbyt cenna i delikatna), a zajrzeć do jego prac, które pomogą nam zrozumieć co nieco ze złożonych problemów wolnego czasu.

A JEDNAK WEEKEND

Francuzi obliczyli, że w latach 70-tych ubiegłego stulecai człowiek w ciągu swego życia przepracował aż 220 tys. godzin. Obecnie na pracę poświęca przeciętnie 96 tys. godzin w ciągu życia. Dla porównania: w 1840 r. w Stanach Zjednoczonych tydzień pracy wynosił średnio 69 godzin, we Francji — 78 godzin, a w Niemczech — 83 godziny.

W 1866 roku Kongres Robotników w Baltimore wysunął postulat 8-godzinnego dnia pracy dla wszystkich robotników. W tym samym roku postulat ten sformułowała I Międzynarodówka na kongresie wiedeńskim. Postulat pozostał jednakże tylko postulatem. Dopiero po I wojnie światowej i po rewolucji, 11 listopada 1917 roku Rosja Radziecka, jako pierwszy kraj w świecie wprowadziła dekretem 8-godzinny dzień i 48-godzinny tydzień pracy. W dwa lata później Międzynarodowa Organizacja Pracy uchwaliła konwencję waszyngtońską, która 8-godzinny dzień pracy przyjęła jako normę międzynarodową.

Wiele państw, w tym również i Polska, bojkotowało postanowienie konwencji. Najwcześniej, bo w 1935 roku, 40-godzinny tydzień pracy wprowadziła Nowa Zelandia. W rok później podobny wymiar godzin pracy obowiązywał we Francji, a dwa lata później w USA. II wojna światowa przekreśliła możliwości skracania tygodnia pracy. Powrócono do tych zabiegów dopiero kilkanaście lat później. W 1955 roku przeważał jeszcze 48-godzinny tydzień pracy. W 1967 roku 41-godzinny i 5-dniowy tydzień pracy wprowadził Związek Radziecki.

Obecnie w Europie pracuje się przeciętnie 40—42 godziny w tygodniu. 5-dniowy tydzień pracy przyjęto jako normę powszechnie obowiązującą pracowników różnych działów gospodarki w Austrii, Belgii, Finlandii, Francji, Norwegii, RFN, Szwecji, Wielkiej Brytanii i we Włoszech. Wolne soboty wprowadzono w ZSRR, Czechosłowacji, NRD i w Jugosławii. W Rumunii obowiązuje 12 wolnych sobót. Na Węgrzech jest wolna co druga sobota. W Polsce wypada co najmniej jedna wolna sobota w miesiącu, razem 16 w ciągu roku.

Jednym słowem, w świecie triumfuje dwudniowy weekend. Czy nie mą innych możliwości skracania czasu pracy? Oczywiście, że są. Można zmniejszyć ilość godzin pracy w ciągu dnia, wydłużyć urlopy, wprowadzić elastyczny czas pracy. W niektórych gałęziach gospodarki wprowadza się np. w Stanach Zjednoczonych, 4- lub nawet 3-dniowy tydzień pracy z tym, że podczas 3—4 dni pracuje się po 12 godzin. Jednakże przeciwko takim normom protestują zarówno lekarze (fizjologiczne skutki tak długiego dnia pracy dają się zbytnio we znaki), jak i związki zawodowe.

W większości krajów bardziej realny ze względów ekonomicznych jest 5-dniowy tydzień pracy, za którym opowiada się także Międzynarodowa Organizacja Pracy.

Czyż jednak siła światowego przykładu jest tak przemożna, że nie potrafimy wyzwolić się spod jej wpływu? Czy musimy naśladować weekendowy wariant?

Nie musimy, ale chcemy. Z ankiet przeprowadzonych wśród pracowników uspołecznionych zakładów pracy wynika, iż **Polacy gromkim głosem domagali się wolnych sobót nawet kosztem wydłużonego dnia pracy.** Nie brak oczywiście poszukiwań innych rozwiązań. Np. w „Polityce" z 8 grudnia ub. r. Jerzy Tyszka proponuje **trzeci wariant.** Otóż radzi on 12 wolnych sobót przeznaczyć na przedłużenie świąt kościelnych i państwowych. Święta te, motywuje J. Tyszka, przypadają w Polw najładniejszych porach rowu. Przedłużenie ich pozwoliłoby lepiej wykorzystać ładną pogodę, sprzyjałoby wyjazdom na świeże powietrze, rozwojowi turystyki, a tym samym lepszą regenerację sił i wypoczynek. Jest to propozycja dyskusyjna, którą należałoby rozpatrzyć w różnych aspektach.

ILE KOSZTUJE MINUTA PRACY?

Skracanie czasu pracy ma bowiem aspekt społeczny, jednakże jest to złożona operacja ekonomiczna. Cóż bowiem stanowi ekonomiczną podstawę skracania czasu pracy? Przede wszystkim wzrost wydajności pracy uzyskiwany głównie poprzez wykorzystanie rezerw wewnętrznych, a tam, gdzie to jest uzasadnione, nawet kosztem nakładów inwestycyjnych. **Krótszy tydzień pracy nie może być bowiem rekompensowany wzrostem godzin nadliczbowych, ani zwiększeniem intensywności pracy, gdyż wypaczałoby to sens społeczny tych posunięć.** Z badań przeprowadzonych np. w krajach zachodnich wynika, że po zbyt intensywnej i wyczerpującej nerwowo pracy człowiek szuka biernego wypoczynku, łatwiejszej, często jałowej rozrywki. Skraca się także tę część czasu wolnego, która powinna być przeznaczona na aktywny wypoczynek i bardziej ambitne rozrywki, a są to sprawy w naszym ustroju niezmiernie istotne.

To wcale nie paradoks, ale **im sprawniej organizowany jest czas pracy,** tym lepiej wykorzystywany czas wolny. Proponuję w tym miejscu sięgnąć do bardzo interesujących, a dla nas również pouczających rozważań na ten temat prof. dr Zdzisława Grzelaka z Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych. Profesor Grzelak przypomina rzadko cytowane słowa Marksa: **Oszczędność czasu pracy jest równoznaczna ze zwiększeniem czasu wolnego, tj. potrzebnego dla pełnego rozwoju jednostki, która sama z kolei, jako najpotężniejsza siła wytwórcza, wtórnie oddziaływuje na produkcyjną siłę pracy.**

Oszczędność czasu pracy i organizacja tegoż czasu nie jest naszą najmocniejszą stroną, a tymczasem cena minuty pracy staje się coraz droższa. Jak podaje prof. Grzelak, w 1970 roku minuta pracy w przeliczeniu na wartość produkcji sprzedanej w przemyśle maszynowym kosztowała 800 zł, a w roku 1975 już 1550 zł. W przemyśle lekkim cena minuty pracy wzrosła w tym samym czasie z 580 zł do 950 zł, a w przemyśle spożywczym z 930 do 1500 zł. Wynika stąd m. in., że strata jednej minuty w całym przemyśle (według danych z 1975 roku) oznacza straty produkcji w ilości około 10 milionów złotych w górnictwie, 700 tys. zł w energetyce, 900 tys. zł w przemyśle chemicznym i 950 tys. zł w przemyśle lekkim.

Nasze grzechy codzienne, naruszanie dyscypliny pracy, późniejsze rozpoczynanie zajęć, wcześniejsze opuszczanie stanowisk, przedłużanie przerw na śniadanie, opuszczanie pracy dla załatwiania rozlicznych formalności, fluktuacja załóg, a także niedostarczanie na czas surowców, części zamiennych itp. powoduje, że tylko w 1975 roku ponieśliśmy z tego powodu straty w wysokości 270 mln zł dziennie, co daje w ciągu roku 84 mld złotych.

CENA CZASU WOLNEGO

Wśród ekonomistów coraz częściej spotyka się twierdzenie, że czas wolny jest częścią majątku narodowego — pisze Edmund Wnuk-Lipiński — **a zarazem sam w sobie jest jednym z istotnych mierników rozwoju gospodarczego. Pojęcie ceny czasu wolnego opiera się na fundamentalnym założeniu, że istnieje możliwość sprzedania owego czasu, jego zamiany na dodatkowe dochody. Cena jednej godziny czasu wolnego jest równa wynagrodzeniu za jedną godzinę pracy dodatkowej. Cena czasu wolnego jest zatem zmienna i to nawet dla tego samego człowieka.** Ekonomiści nie przeprowadzali zbyt wielu analiz poświęconych czasowi wolnemu, stąd też brak jest danych statystycznych i szerszych możliwości porównań. Oficjalne statystyki nie podają np. rozmiaru prac dodatkowych. Jednak z innych źródeł można przypuszczać, że dodatkową pracę wykonuje w Polsce 2—3 mln osób. Dla tej grupy osób czas wolny oznacza więc czas po pracy. Analiza ceny czasu wolnego musi uwzględniać wiele czynników dodatkowych, m. in. zarobki, wykształcenie, kwalifikacje, rozwój bazy wypoczynkowej i inne. **Im większe kwalifikacje, tym większa na ogół indywidualizacja pracy, tym mniejsza granica między czasem pracy a czasem wolnym.** Sprzyja to zatem „sprzedawaniu" czasu wolnego. Z drugiej strony, wzrost wykształcenia zwiększa na ogół potrzeby kulturalne i wypoczynkowe, a więc przeciwdziała tendencji do podejmowania dodatkowych zajęć zarobkowych kosztem czasu wolnego. Na cenę czasu wolnego wpływa także, i to w poważnym stopniu, istnienie tzw. bazy rekreacyjno-wypoczynkowej. Im większa zachęta do wypoczynku, tym silniejsze dążenie do korzystania z jego różnych form. Oczywiście zakładamy, że poziom dochodów pozwala korzystać z urządzeń wypoczynkowych.

Nie ma bowiem wątpliwości co do tego, że wypoczywanie kosztuje. Wymieńmy tu tylko dla przykładu choćby kupno telewizora, książek, sprzętu turystycznego, działki itp. W państwach naszego systemu wydatki te są częściowo pokrywane ze społecznego funduszu spożycia.

W krajach wysoko rozwiniętych wydatki na czas wolny rosną niesłychanie szybko po przekroczeniu pewnego poziomu dochodów ludności. W Polsce wzrost tych wydatków mamy dopiero przed sobą.

GODZINA DZIENNIE...

Z lektury niektórych pozycji naszej prasy można wnosić, iż wykorzystanie czasu wolnego jest jednym z naszych podstawowych problemów, że w dni wolne od pracy nudzimy się potwornie i nie umiemy wykorzystać wolnych minut i godzin. Tymczasem, jak wynika z badań GUS, **czas wolny jest dla większości Polaków ciągle nieosiągalnym dobrem.** 10 lat temu 16 proc. pracujących zawodowo kobiet i 6 proc. mężczyzn przyznało, że w ciągu dnia nie dysponuje dosłownie ani jedną minutą wolnego czasu. W 6 lat później ankiety przeprowadzone wśród łódzkich włókniarek wykazały, iż 34,4 proc. kobiet dysponowało w ciągu dnia 1 wolną godziną, co wystarczało na tyle, aby obejrzeć dziennik telewizyjny i przejść pieszo ze sklepu do domu. Większą ilością czasu wolnego od 2 do 4 godzin dziennie dysponują na ogół ludzie młodzi, do lat 25, mieszkający wspólnie z rodzicami. Na brak wolnego czasu nie narzekają także emeryci, ale tylko ci, którzy z różnych życiowych powodów nie opiekują się wnuczkami i nie prowadzą gospodarstwa dorosłym dzieciom.

Z bilansu czasu przeprowadzonego wśród pracowników 11 przedsiębiorstw przemysłu lekkiego wynika, że dojazdy do pracy zajmują im od 30 minut do dwóch godzin dziennie. Najwięcej czasu pochłaniają jednak zakupy. 30 proc. osób zajmują one od 1 do 3 godzin dziennie. A 17 proc. nawet więcej niż 3 godziny. Na opiekę nad dziećmi przeznacza się przeważnie 1 godzinę w ciągu dnia, a na przygotowanie posiłków 2 godziny, pranie i sprzątanie — od 1 do 2 godzin dziennie.

Po odliczeniu czasu przeznaczonego na sen i posiłki, okazało się, że wszystkie zajęcia wraz z pracą zawodową zajmują im 23 godziny 10 minut. Czas wolny wynosi więc jeszcze mniej niż podałam na początku, bo zaledwie 50 minut dziennie.

Dla większości więc dorosłych, dla których czas wolny jest jeszcze marzeniem, **wolna sobota jest jedyną okazją do załatwienia wszystkich zaległych od miesiąca domowych spraw, większych zakupów, prania, wykonania napraw, odwiedzin krewnych itp.** Dopiero niedziela, dawniej przeznaczona na wykonanie tych czynności, staje się prawdziwym dniem wypoczynku. Zresztą nie tylko w Polsce.

Organizacja handlu i usług w krajach zachodnich jest zupełnie odmienna niż nasza. Możemy jednak sięgnąć do doświadczeń naszych sąsiadów, którzy mieli podobne problemy. Wychodząc na przeciw takim właśnie życiowym potrzebom ludności, **w Związku Radzieckim otworzono w wolne soboty nie tylko sklepy spożywcze, ale także przemysłowe, zakłady usługowe i wielkie domy towarowe. Czesi otwierają w soboty do południa sklepy spożywcze i przemysłowe, natomiast Niemcy w NRD skrzętnie je zamykają już od rana.** I jedni i drudzy znani są jednak z dużej kultury i umiejętności organizacyjnych handlu, tak że zamknięcie sklepów w soboty nie dezorganizuje im dnia codziennego. **Z bilansu czasu naszych rodaków jasno wynika, że przydałyby się nam otwarte sklepy w dni wolne.** Czyż jednak w weekend będą one pracować sprawniej niż w środy czy piątek, i czy w ten sposób rozwiążemy wszystkie nasze zaopatrzeniowe kłopoty? Nie miejmy złudzeń.

Czy także wobec powszechnie występującego braku wolnego czasu warto zastanawiać się nad jego wykorzystywaniem? Na pewno tak, choćby dlatego, aby zwiększająca się ilość wolnego czasu znowu nas „nie zaskoczyła". Istnieją bogate ankiety, m. in. Ośrodka Badań Opinii Publicznej, na temat planów spędzania wolnego czasu. Mamy prognozy i plany rozbudowy bazy turystycznej, gastronomicznej itp. Ciągle jednak nurtuje mnie pytanie, czy kierujemy naszą energię we właściwym kierunku? Konia z rzędem temu, kto zdąży pojechać za miasto nawet z najlepiej zorganizowaną wycieczką lub pójść do teatru, jeśli ma do dyspozycji zaledwie 50 minut. Najwyżej zdąży na ostatni akt.

P.S. Zainteresowanych tym problemem zachęcamy do lektury m. in. następujących pozycji:

J. Penc „Sposoby zwiększania wolnego czasu i ich uwarunkowania". Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego, Nauki Humanistyczno-Społeczne, Seria I, zeszyt 58, 1979, „Czas wolny ludzi pracy, a jakość życia", Kultura i Społeczeństwo, nr 3, 1977, „Czas wolny, a socjalistyczny system wartości". Kultura i Społeczeństwo, nr 4, 1974, „Czas wolny i waruki życia", Nowe Drogi, nr 2, 1980.

Z. Grzelak, „Czynnik czasu w rozwoju społeczno-gospodarczym". Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego, Seria I, zeszyt 58, 1979.

E. Wnuk-Lipiński, „Czas wolny, współczesność i perspektywy", CRZZ, W-wa 1975, „Perspektywiczny model konsumpcji", Wrocław 1970.

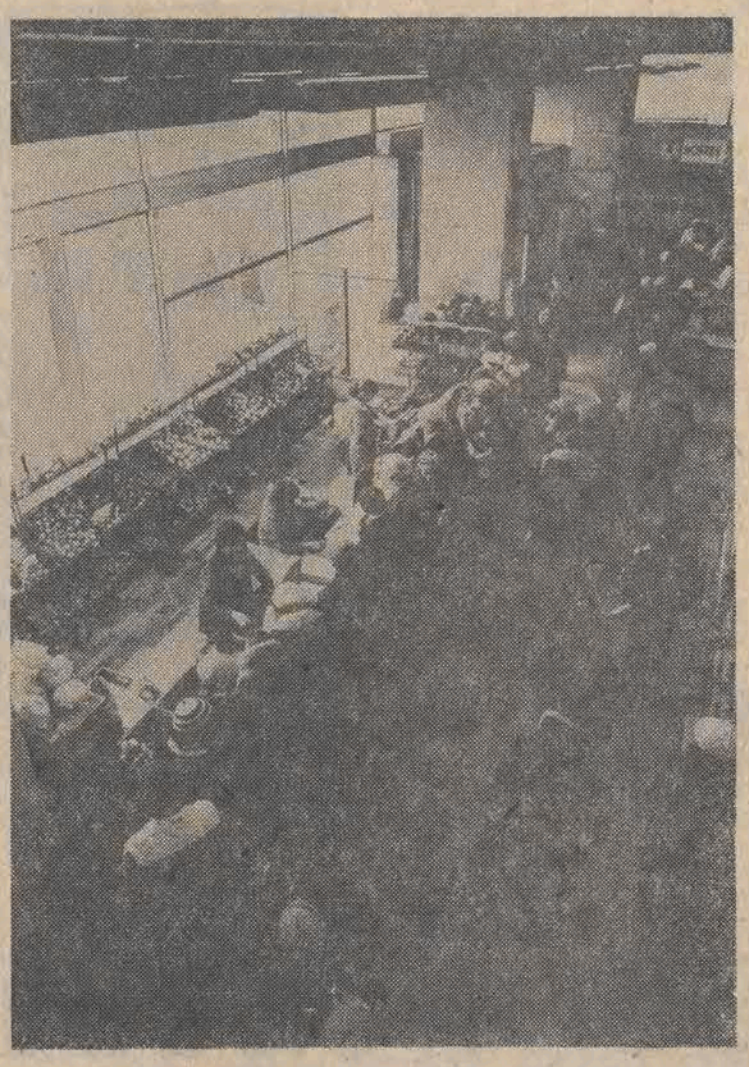

„Najwięcej czasu pochłaniają jednak zakupy"
Foto: R. Łucyszyn

Duda Gracz: Poziom (olej 1978).

TEATR PRZEDE WSZYSTKIM...

Dalszy ciąg ze str. 1

tach nauki przyszedł czas ich spełnień, czas pierwszych już nie epizodycznych tylko ról, pierwszych satysfakcji, pierwszych zwycięstw, pierwszych porażek. Staraliśmy się unikać tych ostatnich, pracowaliśmy więc bez wytchnienia. Przede wszystkim nad sobą, nad opanowaniem warsztatu. Jeśli o mnie chodzi — najlepsze do tego warunki znalazłem w Teatrze Nowym, któremu, jak pani widzi, jestem wierny do dzisiaj...

— ... ale z którego odszedł pan jednak na okrągłych dziesięć lat...

— Na te lata, o których pani mówi, odszedłem tylko z jego murów. Ciągle jednak byłem wierny duchowi tej sceny. Odszedłem po to, by wraz z Dejmkiem pozostać w jej nurcie i znów wraz z Dejmkiem powrócić na tę scenę — kolebkę, scenę moich pierwszych i najgłębszych artystycznych wzruszeń, by także i w sobie odnowić klimat tamtych lat, reaktywować tamte, jakże sprzyjające naszemu rozwojowi i prawdziwej sztuce warunki pracy.

— Zastał pan ten teatr nie zmienionym?

— Zastałem go przede wszystkim w dalszym ciągu Teatrem Nowym. A czy nie zmienionym? Może trochę. Ale chyba na korzyść. Jest w nim także i teraz dużo zdolnej młodzieży aktorskiej, sam teatr zaś wzbogacił się o nowe doświadczenia. Nie ma zresztą powodu, dla którego miałby pozostawać w tym samym kształcie, winien przecież rozwijać się równie dynamicznie, jak wszystko to, co rozwija się wokół nas. U jego podstaw legła przecież kiedyś myśl o postępie, o stałym rozwoju, o towarzyszeniu nurtowi życia.

— Nasza rozmowa staje się rozmową o Teatrze Nowym, a przecież mieliśmy mówić o panu, o pana pracy, o zagranych w ciągu tych trzydziestu lat rolach.

— Nie wiem jak istniałbym bez tego teatru, jak potoczyłyby się moje teatralne losy i to, co u aktorów nazywa się sceniczną karierą.

— To ostatnie słowo wypowiedział pan dość chłodno.

— Bo bardzo tego słowa nie lubię, zwłaszcza najpowszechniejszej interpretacji jego znaczenia. Nigdy nie starałem się „robić kariery". W samym pojęciu „robienia kariery" kryje się jakaś tania łatwizna, coś z nietrwałego blichtru i wątpliwej wartości. Proszę mi wierzyć, że nic nie przychodziło mi łatwo, przeciwnie — nad wszystkim musiałem się bardzo napracować. Bardzo intensywnie pracuję i dzisiaj. W aktorstwie nie wolno powicsić tego zajęcia na kołku i delektować się smakiem przedwczorajszej premiery.

— Po jakim czasie ta inwestowana w aktorstwo praca przynosi pożądane efekty?

— Tu nie ma i nie może być żadnych miar. I cała ta sprawa nie polega na długości czasu, ale na naszym do tego zawodu stosunku.

— A co w stosunku do tego zawodu jest najważniejsze?

— Może zabrzmi to zbyt patetycznie, ale tym podstawowym warunkiem jest pokora wobec sztuki. Jeśli zaś nie pokora, to przynajmniej skromność. Nie istniejemy sami dla siebie. Żaden z nas — ludzi wykonujących ten zawód, nic w zasadzi bez sztuki nie znaczy. Jesteśmy na jej usługach i z tego trzeba sobie zdać sprawę przede wszystkim. Mamy mówić ludziom prawdę o życiu, o nich samych, mamy ich wzruszać, skłaniać do refleksji, bawić lub tylko rozweselać. Aby robić to dobrze, trzeba poznać wszystkie arkana tej sztuki; ich pełne opanowanie jest miarą nowoczesnego aktorstwa.

— W ciągu trzydziestu lat pracy w teatrze poznał pan je chyba dosyć dokładnie. Co jest w tym zawodzie najtrudniejsze?

— Mówiąc żartobliwie: pierwszych dziesięć lat. Może więcej, może mniej, nie wiem. U mnie tyle mnie więcej czasu trwało pokonanie lęku przed tą czwartą ścianą, która, gdy patrzy się na nią z naszej strony, jest po prostu wielką, czarną i straszną dziurą. Płyną z niej tak bardzo skupione i przenikliwe spojrzenia, że samo uświadomienie sobie ich obecności i tego, że skierowane są akurat na mnie, było przez owe pierwsze lata doprawdy paraliżujące. Potem wzrasta doświadczenie, pogłębia się technika aktorska, coraz bardziej panujemy nad własnym ciałem, tym początkowo bardzo niesfornym, a podstawowym instrumentem naszej pracy i z czasem ten straszny na początku, czarny otwór przestaje dzielić, a zaczyna łączyć. Coś się między nami wytwarza i to jest teatr, i to jest aktor w teatrze...

— A może chodzi tu po prostu o element rutyny? Może to ona właśnie pozwala pokonywać trudności?

— Nie, o rutynę nie chodzi tu w żadnym wypadku. Nie pomaga ona w pokonywaniu trudności. Może natomiast nastręczać nowych, wtedy zwłaszcza, gdy zabija w aktorze niezbędną świeżość emocji i miast z „duchem" postaci, zostaje on na scenie z samą jej „literą", z pustym już wtedy tylko imieniem w spisie osób dramatu.

— Co zatem najlepiej, pana zdaniem, służy w teatrze aktorowi?

— Połączenie świeżości emocji z mistrzostwem technicznym. Każdy z wymienionych tu elementów osobno także niewiele znaczy i nie na wiele się przydaje. Sama intensywność przeżycia to egzaltowane amatorstwo, które czasem daje odbiorcy wrażenie scenicznej histerii, sama doskonałość techniczna — to sztampa i już nawet nie rutyna, ale wręcz rutyniarstwo.

Czasem zdarza mi się poczuć na scenie pełne oderwanie od realnego, rzeczywistego świata, tę wyczuwalną granicę między odtwórczością a twórczością. Po trzydziestu latach pracy wiem już, kiedy gram gorzej, kiedy lepiej, panuję nad reakcjami, umiem na bieżąco analizować swoje zachowanie sceniczne. Korzystam z zawodowego doświadczenia i technicznej sprawności, z tego, co zwie się warsztatem. Oczywiście, każdego wieczoru, bardzo się staram, by dziś stał się ten „cud", by gdzieś we mnie w środku zajaśniała ta iskierka, ale fakt jej obecności warunkuje wiele czynników, z których część tylko zależy ode mnie. Gdzieś obok tych najprawdziwszych satysfakcji istnieje inne jeszcze uczucie zadowolenia. To, które musimy narzucać sobie przed każdorazowym wejściem na scenę. Nie mogę przecież wchodzić na nią z obawą, że nie zrobiłem wszystkiego. Byłby to po prostu walkower, a przecież wiara w siebie jest jednym z naszych wspólnych, uniwersalnych obowiązków.

— A talent? Na którym stawia go pan miejscu?

— Proszę pani, nasz zawód czyni takie same postępy, jak wszystkie inne dziedziny życia. W ostatnich latach ogromnie wzrosły jego wymagania. Nie wystarczy już li-tylko wyglądać, mieć wdzięk i tak zwane warunki, dobrze postawiony głos, zgrabną sylwetkę i czarujący uśmiech. Dla spełnienia tych wciąż rosnących wymagań (poprzeczkę podnosi tu zarówno film, teatr jak i telewizja) nie wystarczy już także talent. Jeśli nawet przypisać mu rolę i cenę brylantu, to przecież o jego blasku decyduje oprawa, a mówiąc jeszcze prościej — robota jubilerska.

— Czy te właśnie blaski i cienie aktorstwa odkrywał pan przed grupą młodych aktorów, z którymi pracował pan nad „Lekarzem mimo woli"?

— Podjąłem się zadania wprowadzenia ich w krwiobieg teatru. Starałem się więc by praca z nimi nie sprowadzała się do wyreżyserowania przeze mnie jednego przedstawienia. Chciałem, by poznali nasz teatr, jego tradycje, panujące tu zwyczaje, by stali się jego współodpowiedzialnymi gospodarzami, pełnoprawnymi członkami jego zespołu i całej polskiej rodziny teatralnej. Jesteśmy już bardzo sobie bliscy, więc chyba się udało.

— Gratuluję sukcesu pedagogicznego. Pomówmy teraz o pana sukcesach artystycznych.

— O sukcesach? Trudno będzie. To bardzo nieprecyzyjne i z natury dosyć mylące określenie. Po cóż brnąć w gąszcz definicji? Pasjonuje mnie aktorstwo.

— Mówmy więc o pana rolach. Które z nich ceni pan najbardziej?

— Z mojego pierwszego „łódzkiego okresu" — Winkelrieda w „Święcie Winkelrieda", Józefa w „Żywocie Józefa", Chrystusa w „Historyi o chwalebnym zmartwychwstaniu Pańskim", Tarełkina w „Sprawie". Z ról zagranych w ciągu ostatnich pięciu lat wymieniłbym Woźnego w „Dialogusie de Passione", Ministra Finansów w „Cieniu", Goldbauma w „Zwłoce", Przepiórkę w „Vatzlavie", Geronta w „Lekarzu mimo woli" i ostatnio — Wahazara w sztuce Witkacego.

— Pierwszym, niejako narzucającym się zjawiskiem, jest różnorodność wymienionych tu ról. Pozwalam sobie wnioskować z niej o wszechstronności pana talentu.

— A ja się po prostu cieszę, że mogłem sprostać tak rzeczywiście odmiennym zadaniom i odnaleźć się w różnych stylistykach.

— Odnoszę wrażenie, że pasjonuje pana taka odmienność gatunkowa zadań aktorskich.

— Bo tak jest w istocie. To naprawdę pasjonujące móc przechodzić z jednej konwencji w drugą. To wędrówka w różnych światach. Farsowa rola w sztuce Moliera, a obok tragizm Goldbauma — to dwa różne światy, dwie wielkie aktorskie przygody. Jeśli dodamy do tego groteskę Mrożka i Witkacego — obraz będzie pełniejszy, a moje przekonanie o tym, iż aktorstwo jest najwspanialszym zawodem świata — bardziej zrozumiałe.

— W ostatnim czasie oglądaliśmy pana w kilku filmach, był pan częstym gościem na ekranach telewizorów.

— Film i telewizja otwierają przed naszym zawodem nowe możliwości, ale pracuje się tam w dość specyficznych warunkach. Przyjmuję więc tylko niektóre propozycje. Nigdy nie zarzekałem się, że „tylko teatr", ale jednak — teatr przede wszystkim. Estrada, radio, film, telewizja, to nie tyle uboczne, co dodatkowe zajęcia. Bywają one atrakcyjne, choćby ze względu na artystyczne wartości dobrych scenariuszy, czy możliwość wypowiedzi przed znacznie przecież szerszą niż w teatrze widownią. Podejmuję je czasem z ciekawości, czasem dla relaksu, zawsze zaś po to, by po ich sfinalizowaniu pokochać teatr jeszcze bardziej.

— A opera, śpiewał pan w niej z ciekawości, czy dla relaksu?

— Z ciekawości, oczywiście! Interesowało mnie to, czy podołam temu odmiennemu przecież zadaniu. Kolejny zakład z samym sobą. Śpiewałem w Warszawskiej Operze Kameralnej (partię Fantuzjusza w „Szarlatanie" Kurpińskiego) i w łódzkim Teatrze Wielkim (barytonową partię Nikity w „Zamku na Czorsztynie"). Krystyna Szostek-Radkowa z którą śpiewałem w przedstawieniu warszawskim powiedziała mi nawet, że... nie przeszkadzam. Nie przeszkadzać tak wybitnej śpiewaczce, to już coś. Recenzje też były pochlebne, ale śpiewakiem operowym już nie zostanę. Były to znów wspaniałe przygody, jednak teatr jest najwspanialszy. Uchylił mi zaledwie rąbka swojej tajemnicy. Chcę ją dalej zgłębiać.

— Pana artystyczne przygody teatralne pasjonują również widzów. Panu i sobie zatem, życzymy ich jak najwięcej.

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

„Srebrny Pierścień" w dziale teatrów dramatycznych: Bogdan Baer jako Przepiórka w „Vatzlavie" Mrożka (pierwszy z lewej; obok Andrzej May i Marian Stanisławski.
Foto: A. Brustman

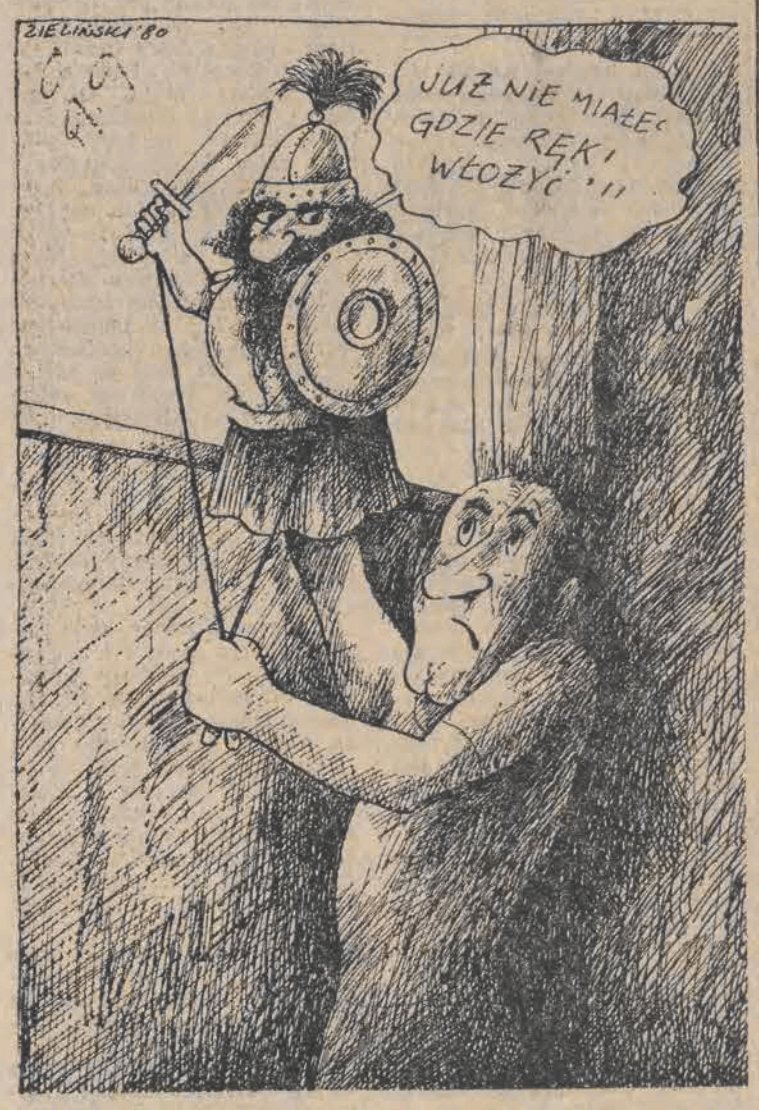

Rys. Jan Zieliński

AMATORZY NA WOZIE

Działalność teatrów amatorskich w Łodzi zapoczątkowana została w latach czterdziestych zeszłego stulecia. W tym czasie istniała już w mieście grupa aktorów-amatorów, którzy przy różnych okazjach występowali na zaimprowizowanych scenach w drobnych utworach dramatycznych.

Łódź wtedy nie posiadała jeszcze teatru, a występy wędrownych trup aktorskich należały tu do rzadkości. Bywało, że upłynęło kilka lat, zanim jakiś objazdowy zespół teatralny zawitał do miasta. Brak stałego teatru zawodowego próbowały więc zastąpić amatorskie zespoły dramatyczne.

Pierwsze przedstawienia amatorskie — odnotowane w kronikach Łodzi — odbywały się w tzw. „domu zabaw", wzniesionym około 1840 roku przez łódzkiego przemysłowca Ludwika Geyera na posesji przy ul. Piotrkowiej nr 280. Na górnej kondygnacji wspomnianego budynku znajdowała się duża sala z estradą dla orkiestry, przeznaczona na zabawy publiczne. Właśnie ta estrada służyła za miejsce występów teatru amatorskiego.

Zespołem amatorów kierował Edward Reineit. Przedstawienia w „domu zabaw" odbywały się dwa razy w miesiącu, na przemian polskie i niemieckie. Wystawiano głównie jednoaktowe farsy i krotochwile, po których następowały tańce.

Około 1850 roku w ogrodzie zajazdu „Paradyz" (ul. Piotrkowska nr 175), z inicjatywy i przy finansowym wsparciu Ludwika Geyera, stanął budynek przeznaczony na siedzibę niemieckiego Męskiego Towarzystwa Śpiewaczego, którego Geyer był prezesem. Obszerna sala, znajdująca się w tym budynku, służyła nie tylko dla występów chórzystów, ale także odbywły się w niej przedstawienia teatralne, początkowo amatorskie, później zaś również teatrów zawodowych. Amatorom narodowości niemieckiej patronowało Męskie Towarzystko Śpiewacze.

Polskimi amatorami zaopiekował się wtedy nauczyciel Powiatowej Szkoły Rzemieślniczej Franciszek Rybka. Z jego inicjatywy restaurator Fryderyk Sellin, właściciel lokalu gastronomicznego przy ul. Piotrkowskiej nr 91, w ogrodzie na zapleczu restauracji zbudował drewnianą estradę, na której występowali podopieczni Rybki. Sądzić można, że Sellin, wznosząc ową estradę, kierował się zamysłem kupieckim. Teatrzyk gromadził licznych widzów, którzy zapewne po przedstawieniu nie omijali dobrze zaopatrzonej restauracji. W miesiącach zimowych występy amatorów odbywały się w pobliskim budynku pofabrycznym.

Teatr amatorski, kierowany przez Sellina i Rybkę, istniał do czasu zorganizowania przez Sellina teatru zawodowego. Stał on na niezłym poziomie i przewyższał nawet niektóre zawodowe zespoły dramatyczne. Wśród aktorów-amatorów, oprócz Rybki, wyróżniały się talentem scenicznym i nieprzeciętną ponoć urodą siostry Skrudzińskie, córki miejscowego nauczyciela.

Amatorzy łódzcy grywali na cele dobroczynne, przeważnie na zasilenie funduszów Szpitala Powiatowego i na wpisy dla niezamożnych uczniów Szkoły Rzemieślniczej. Bywało też, że występowali oni wspólnie z aktorami zawodowymi, zwłaszcza w sztukach, które wymagały liczniejszej obsady personalnej. Było tak m.in. w czasie pobytu w Łodzi trup objazdowych Ludwiki Rembeckiej i Józefa Barańskiego. Udział amatorów w przedstawieniach teatrów zawodowych wpływał dodatnio na frekwencję.

W latach późniejszych, kiedy Łódź stała się obiektem częstych odwiedzin teatrów zawodowych, a następnie uzyskała własny stały teatr, działalność amatorów znacznie osłabła. Odrodzenie ruchu amatorskiego nastąpiło dopiero pod koniec stulecia, a zwłaszcza po rewolucji 1905 roku. Wówczas to, w warunkach rozluźnionego ucisku caratu, powstały liczne

POWIĘKSZANIE TEATRALNEJ RODZINY

Dalszy ciąg ze str. 1

iż dobór i poziom sztuk zachęcać będą do wizyty w teatrze również szerszą publiczność.

Niewątpliwie obie premiery, którymi Teatr im. Tuwima zainaugurował swoją działalność: „Wypadek" Jerzego Przeździeckiego (sztukę tę omówimy oddzielnie) i „Odprawa posłów greckich" Jana Kochanowskiego, są przedstawieniami także dla tej — szerszej — widowni.

W inscenizacji „Odprawy" realizatorom udało się przełamać nastawienie, że chodzić tu będzie tylko o jeszcze jedną pozycję ze szkolnego spisu lektur, taką, co to odstrasza staroświecko brzmiącą polszczyzną i przytłacza ciężarem archaicznych realiów, na wpół zrozumiałych, mitologicznych aluzji i przypisów do nich.

W nowym wydaniu „Odprawa" nie stała się na szczęście jedynie sceniczną ilustracją wybranej pozycji z „języka polskiego". Adaptator i reżyser w jednej osobie — Józef Jasielski, dokonał w tekście dramatu daleko idących skreśleń i uzupełnień. Naruszył strukturę antycznej tragedii, na której — nie do końca zresztą szczęśliwie — oparł się autor, przekształcając to wszystko, co na temat odbywającej się w Troi rady wiemy tylko z relacji posła — w samoistną scenę obrad (która w efekcie stała się centralną częścią spektaklu). Relacja posła rozbudowana została o fragmenty innych utworów Kochanowskiego (są to m.in. fragmenty fraszek, Pieśni, Satyra, Zgody) i nowe postaci (Eneasz, Hektor). Adaptatorem kierowała tu chęć stworzenia sceny dialogowej, w której następowałaby autentyczna wymiana poglądów i sprzecznych racji.

Zabieg ten powiódł się. Ożywił niemrawą akcję tragedii, wzmocnił jej dramatyzm (w tekście Kochanowskiego brak jest nie tylko żywej i bogatej akcji, ale i „grozy tragicznej"), a — co najważniejsze — odwrócił uwagę widza od samego przedstawiania zdarzeń i nakierował ją na prezentację ścierających się ze sobą — psychologicznie pogłębionych — sylwetek i postaw bohaterów. W konsekwencji na plan dalszy zeszło to, co jest wyraźną słabością dramatu (akcja, konstrukcja), zaś na czoło wysunęło się to, co stanowi o jego sile i aktualności: namiętny spór przeciwstawnych racji, postawy patriotycznej z prywatą i obojętnością wobec losów narodu.

Teatralną wizję problematyki „Odprawy" wzbogacił reżyser dodatkowo o szereg odwołań i sygnałów, które wymowę dramatu ze sfery moralnej przesuwają w dziedzinę polityki i spraw narodowych, a jednocześnie skłaniają do odczytywania znaczeń inscenizacji w perspektywie tej narodowej tradycji literackiej, którą zapoczątkowała „Odprawa" — jako pierwszy nasz dramat politycznych, a która najpełniejszy wyraz znalazła w dramacie romantycznym i neoromantycznym (Wyspiański).

Oto „chór panien trojańskich", który w tekście dramatu ograniczał się do wypowiadania kwestii, zostaje przekształcony w modelowaną „z polska", pełną werwy gromadę wiejską. Na jednym planie sztuki obserwujemy spór przedstawicieli arystokracji, na drugim — ewolucję ludu, dojrzewającego do postawy rewolucyjnej (podkreślonej zaczerpniętym z „Wesela" motywem kos). Komentarze chóru rozpisano między głosy gromady i Stańczyka. Wprowadzenie tej postaci — nieobecnej w tekście Kochanowskiego — nie było bezpodstawne. W czasach Kochanowskiego — w rzeczywistym czasie dziania się spraw dramatu (epizod fabularny oparty na „Iliadzie", a przedstawiający próby odzyskania przez greckich posłów pięknej Heleny jest, jak wiadomo, tylko pretekstem dla poruszenia aktualnych spraw Rzeczypospolitej) — na dworze królewskim przebywał Stańczyk, nazwiskiem Gąska (wspomina o nim Kochanowski w innym ze swoich utworów). W spektaklu nadworny błazen jest jednak nie tylko postacią historyczną. Usytuowany z boku proscenium, w milczeniu przysłuchuje się sporom, a niekiedy spojrzeniem pełnym ironii ogarnia publiczność — jak gdyby chciał powiedzieć: „Wasza to tragedia rozgrywa się przed wami...". Jego głos, raz gniewny, wzburzony, innym razem przesycony sarkazmem, innym jeszcze — troską, dobiega z głośników. Już jednak sama poza, mimika milczącego błazna jest celnym komentarzem do naszych dziejów. W przedstawieniu „Odprawy" postać Stańczyka — funkcjonująca także jako symbol — cytat z „Wesela" i płótna Jana Matejki i ewokująca przez to różne możliwości jego odczytywania — przede wszystkim jednak, jak można się domyślić, ma podkreślić stanowisko inscenizatora.

Podobna rola przypadła w spektaklu Jasielskiego Kasandrze. By podkreślić wagę tej postaci, przebudował reżyser finał sztuki. W tekście oryginału po dramatycznym monologu Kasandry, wieszczącej „upadek, pożogę, pustki", następują jeszcze dwie krótkie sceny. W inscenizacji głos zwiastunki „wielkiego ognia" zamyka dramat. Tym samym myśl przewodnia poety — że państwo, w którym większość rządzi się nie miłością ojczyzny, lecz prywatą i nieuczciwością, musi upaść — została wzmocniona. W takim ujęciu finału w monologu Kasandry kulminuje się narastające napięcie dramatyczne, a interesujący końcowy efekt inscenizacyjny: łuna pożarów i gęste dymy płynące ze sceny dopełniają atmosfery tajemniczej grozy, która spowija tę część sztuki.

Jest na pewno zaskoczeniem, że w wyniku tych — tak poważnych — przeobrażeń tekstu, powstało przedstawienie spójne i przekonywające. Zmiana akcentów wewnątrz struktury tragedii, uwyraźnienie polskiego kolorytu i wprowadzenie znaczeń o treści narodowej i patriotycznej — spoza tekstu, pozwoliło w sumie uwydatnić realizatorom to, co — jak można sądzić — i dla wielkiego poety było najważniejsze: pełne obywatelskiej troski wezwanie do naprawy Rzeczypospolitej. W tym sensie brak wierności literze oryginału nie może być zarzutem.

Powstał utwór odbiegający od polonistycznego, wiernopoddańczego traktowania tego klasycznego dzieła naszej literatury, utwór uczący samodzielnego, krytycznego stosunku do tradycji, zmuszający młodych widzów do myślenia. I owo zmuszanie do myślenia, ów krytycyzm są chyba najważniejsze. Pozwalają prorokować ciekawy rozwój naszej najmłodszej łódzkiej scenie.

Trzeba przy tym podkreślić, że w przybliżeniu archaicznie dziś w wielu miejscach brzmiącego dzieła do współczesnej wrażliwości, dopomogły inscenizatorowi i oszczędna, acz funkcjonalna scenografia, i mroczna, współbrzmiąca z atmosferą dramatu muzyka, i — wreszcie — wyrównana gra aktorskiego zespołu (zwraca uwagę dobre opanowanie pięknych, niełatwych tekstów), spośród którego wyróżniłbym Tadeusza Teodorczyka (Antenor), Euzebiusza Olszewskiego (Iketaon) i Jolantę Szajnę (Kasandra).

Udana inauguracja działalności Teatru im. Tuwima zachęci z pewnością do następnych wizyt w teatrze. Podczas sesji popularnonaukowej, zorganizowanej z okazji otwarcia sceny, a poświęconej teatrowi dla młodzieży, łódzcy uczniowie deklarowali chęć uczestniczenia w codziennym życiu ich nowej placówki kulturalnej. O ile nam wiadomo, dyrekcja i zespół Teatru im. Tuwima przystali na te propozycje, licząc, iż łódzka młodzież i pedagodzy staną się współtwórcami programu i linii repertuarowej teatru. Już w tej chwili prowadzi on rozległą działalność popularyzatorską i opiekę nad amatorskim ruchem artystycznym w szkołach, w zakładach pracy i wśród studentów. Istnieje Społeczna Rada Repertuarowa, przy której pomocy nakreślono program nowej działalności.

Z satysfakcją możemy więc odnotować powiększenie łódzkiej teatralnej rodziny.

TOMASZ SOLDENHOFF

Teatr im. Juliana Tuwima. Jan Kochanowski: „Odprawa posłów greckich", adapt. i reż. Józef Jasielski, scenografia — Ryszard Kuzyszyn, muz. Tadeusz Woźniak. Premiera — na scenie Teatru Rozmaitości — 23 lutego 1980.

„Srebrna Łódka" w dziale przedstawień dramatycznych: „Odprawa posłów greckich" na scenie Teatru im. J. Tuwima.

Nagroda za najlepszy debiut: Bogusław Semotiuk jako Sganarel w „Lekarzu mimo woli" Moliera

„Srebrny Pierścień" w dziale teatrów muzycznych: Włodzimierz Zalewski jako Zorba w musicalu Candera.

Rys. Jan Zieliński

MELPOMENY

stowarzyszenia kulturalne, chóry, związki zawodowe — ambicją których było założenie własnego zespołu amatorskiego.

Do najstarszych i najaktywniejszych należało koło dramatyczne działające przy założonym w 1892 roku Stowarzyszeniu Śpiewaczym „Lutnia". W 1907 roku, kiedy wytworzyła się najlepsza atmosfera dla działalności kulturalnej, koło to dało 27 przedstawień teatralnych. Występy odbywały się przeważnie w lokalu wspomnianego stowarzyszenia, mieszczącym się przy ul. Piotrkowskiej nr 108, w oficynie. Podobne koło amatorskie, istniejące przy Rzemieślniczym Towarzystwie Śpiewaczym „Lira", w tym samym czasie dało 14 przedstawień.

Stała scena amatorska powstała przy związku włókniarzy „Jedność". Występy koła dramatycznego były jedną z większych atrakcji zabaw, urządzanych co niedziela w „Paradyzie", gdzie znajdował się lokal związkowy „Jedności". Zespołem amatorskim kierował aktor Zygmunt Giogier. W 1907 roku związkowcy wystawili 28 utworów scenicznych, przeważnie jednoaktówek. Również przy innych związkach zawodowych działały koła dramatyczne, chociaż z mniejszą aktywnością.

Osobny rozdział w dziejach amatorskiego ruchu teatralnego w Łodzi stanowi działalność kół dramatycznych istniejących przy niektórych wielkich zakładach przemysłowych. Już w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku koło takie działało przy klubie pracowniczym zakładów scheiblerowskich na Księżym Młynie. Zespół aktorski, składający się z polskiego personelu technicznego i administracyjnego, był pod opieką dyrektorów przedsiębiorstwa Edwarda Wagnera i Jana Surzyckiego. Finansowego wsparcia udzielała amatorom Anna Scheiblerowa, wdowa po założycielu fabryki.

Występy teatrzyku na Księżym Młynie odbywały się w sali klubu pracowniczego, w nieistniejącej już oficynie przy ul. Przędzalnianej nr 68. Widownia mieściła blisko 600 osób. Publiczność teatralną stanowili przeważnie scheiblerowscy robotnicy. Wystawiano sztuki z repertuaru typowego dla zespołów amatorskich, m.in. W.L. Anczyca, Z. Przybylskiego, J.N. Kamińskiego. Reżyserem przedstawień na Księżym Młynie był przez pewien czas znany aktor Józef Teksel.

Również na Widzewie, przy zakładach bawełnianych J. Heinzla i J. Kunitzera, istniało amatorskie koło teatralne, występujące w tak zwanym domu widowiskowym, skupiającym życie kulturalne robotniczego Widzewa.

Najwięcej sposobności do popisów amatorzy mieli w okresie letnim. Wówczas to w parkach miejskich i prywatnych ogrodach odbywały się liczne zabawy, organizowane przez różne instytucje i stowarzyszenia, dochód z których przeznaczony był na cele dobroczynne. Niemal każdy z tych ogrodów posiadał niewielką scenę, na której odbywały się występy jakiegoś kółka dramatycznego, stanowiące obok tańców, puszczania balonów, loterii fantowej, koncertu orkiestry i chóru, jedną z atrakcji takiej zabawy.

Amatorskimi zespołami teatralnymi kierowali przeważnie miejscowi aktorzy zawodowi. Wymienić by tu można Janusza Orlińskiego, Władysława Glogiera, Franciszka Stróżewskiego, Józefa Trzywdara.

Teatr amatorski spełniał ważną rolę w rozwoju kulturalnym klasy robotniczej. Często było to pierwsze zetknięcie się robotników z teatrem. Redakcja pisma związkowego „Jedność" stwierdzała, że „po naszych przedstawieniach amatorskich znać było, że wielu z tych robotników, którzy nie odczuwali potrzeby takiej rozrywki jak teatr, zaczęli się doń garnąć".

Wybuch pierwszej wojny światowej spowodował przerwę w działalności dobrze rozwijającego się amatorskiego ruchu teatralnego w Łodzi. Po odzyskaniu niepodległości nastąpiło wprawdzie ponowne odrodzenie teatru amatorskiego, ale w ograniczonym zakresie, zmieniły się bowiem warunki, w jakich przyszło mu teraz działać. Szczególną zaporą, utrudniającą rozprzestrzenianie się ruchu amatorskiego w społeczeństwie w okresie międzywojennym, był żywiołowy rozwój kinematografii i radiofonii.

WACŁAW PAWLAK

Gdy w II wieku naszej ery Chińczycy wytworzyli pierwsze zwoje papieru, nie przypuszczali zapewne, że ich wynalazek znajdzie tak powszechne zastosowanie. Obecnie na świecie produkuje się w ciągu roku ok. 40 kg papieru i tektury na osobę. I produkcja ta bardzo szybko wzrasta. W roku 2000 wyniesie ona ok. 400 mln ton.

PAWEŁ PATORA

PAPIEROWA NOWOCZESNOŚĆ

Wzrasta też zużycie. W 1978 roku statystyczny obywatel USA zużył 274 kg papieru, obywatel Kanady — 221 kg, Szwecji — 203. W dwunastu krajach roczne zużycie papieru przekroczyło 100 kg na jednego mieszkańca. **W Polsce wyniosło ono około 42 kg na jednego mieszkańca, co stawia nas na bardzo odległej pozycji w Europie,** bowiem statystyczny Europejczyk zużył w tym czasie o 31 kg papieru więcej.

Papier znajduje coraz szersze zastosowanie. Stosuje go się między innymi w przemyśle materiałów elektroizolacyjnych, w budownictwie, przemyśle obuwniczym, a nawet samochodowym i maszynowym. Służy m. in. do wyrobu cewek przędzalniczych, membran do głośników oraz taśm do komputerów i wielu innych urządzeń. Ostatnio w USA i innych krajach uprzemysłowionych coraz większą popularnością cieszą się papierowe ubrania jednorazowego użytku, od bielizny i kostiumów kąpielowych począwszy, poprzez suknie balowe, aż do płaszczy. Papierowe obrusy, serwetki, pieluszki i chusteczki higieniczne znane są dobrze i u nas, choć nie zawsze dostępne w sklepach.

Przyczyn naszych papierowych niedostatków jest wiele. Przemysł papierniczy należy do najbardziej kapitałochłonnych w całej gospodarce. Jest też bardzo uciążliwy dla środowiska — zużywa wiele wody i produkuje ogromne ilości ścieków. Poważną przeszkodę we wzroście produkcji papieru stanowią nierytmiczne dostawy drewna i innych surowców, wynikające głównie z trudności transportowych. Po osiągnięciu pełnej zdolności produkcyjnej przez nowy kombinat celulozowo-papierniczy w Kwidzyniu możemy się spodziewać poprawy zaopatrzenia w papier. Na pełne zaspokojenie popytu trzeba będzie jednak poczekać nieco dłużej.

Mimo nie najlepszej pozycji w świecie polskiego przemysłu papierniczego, badania naukowe z zakresu papiernictwa i maszyn papierniczych prowadzone są w Polsce na bardzo wysokim poziomie, a otrzymane wyniki budzą żywe zainteresowanie czołowych ośrodków zagranicznych.

Od dnia 1 lutego 1952 roku — kiedy to powstała w PŁ Katedra Technologii Celulozy i Papieru, która w roku 1970 weszła w skład nowo utworzonego Instytutu Papiernictwa i Maszyn Papierniczych — do dnia dzisiejszego uczelnia wykształciła około 900 inżynierów-specjalistów w dziedzinie technologii celulozy i papieru oraz konstrukcji maszyn papierniczych.

Minęło już dwadzieścia lat od chwili, gdy naukowcy w PŁ zajęli się problemem wykorzystania trocin do wyrobu włóknistych półproduktów papierniczych. Jedna tona trocin, wykorzystana do produkcji papieru, zastępuje 870 kg drewna. Choć z samych trocin papieru się nie otrzyma, to jednak można je z powodzeniem wykorzystać do wytwarzania celulozy. Tymczasem w tartakach i fabrykach mebli trociny są bezużytecznym, a nawet kłopotliwym odpadem i często wędrują na wysypiska.

Gdy w 1961 roku na międzynarodowym sympozjum w Jassach w Rumunii prof. Edward Szwarcsztajn przedstawił wyniki swych prac prowadzonych w Politechnice Łódzkiej wspólnie z prof. Włodzimierzem Surewiczem i doc. Kazimierzem Modrzejewskim, osiągnięcie to uznano w świecie za sensację naukową. Badacze z PŁ opracowali bowiem nie znaną wcześniej w żadnym kraju technologię produkcji półchemicznych mas celulozowych, w której jedną piątą objętości surowców wyjściowych stanowią trociny.

Szybkie zastosowanie w praktyce tego opracowania stwarzało nam wówczas szansę nie tylko dużych oszczędności drewna, ale także nowej specjalizacji eksportowej. Niestety, minęło 17 lat od zakończenia badań do uruchomienia w Zakładach Celulozy i Papieru w Świeciu nad Wisłą pierwszej w Polsce instalacji wytwarzającej tekturę falistą z masy celulozowej z dodatkiem trocin według technologii opracowanej w PŁ. Tymczasem w krajach rozwiniętych trociny są już powszechnie stosowanym surowcem w przemyśle celulozowo-papierniczym.

Wykorzystuje się je m. in. do produkcji bielonych mas celulozowych. Amerykanie sprzedali kilkadziesiąt instalacji do tego celu. Instytut Papiernictwa i Maszyn Papierniczych PŁ już w 1972 roku rozwiązał problem otrzymywania bielonych mas celulozowych z trocin, jednak do dzisiaj nie wykorzystano w przemyśle otrzymanych wyników.

Duże oszczędności surowcowe w papiernictwie można osiągnąć przez zwiększenie udziału makulatury w procesie produkcyjnym oraz przez racjonalne jej wyzyskanie. Każda tona makulatury, wykorzystana do produkcji papieru, oznacza oszczędność masy drewna równej rocznemu przyrostowi z 1 hektara lasu. Z makulaturą są jednak kłopoty. Konieczna jest sprawna organizacja skupu i transportu oraz rozwiązanie problemu sortowania tego cennego surowca wtórnego. Przy tym papier z makulatury jest gorszy niż z drewna. Powtórnie przerabiane włókna nie wiążą się tak dobrze jak nowe — rogowacieją i tracą zdolność pęcznienia.

Aby poprawić wytrzymałość papieru z makulatury, należałoby zastosować wyniki prac badawczych przeprowadzonych w Instytucie Papiernictwa i Maszyn Papierniczych PŁ. **Łódzcy naukowcy opracowali bowiem metodę poprawiającą jakość papieru z makulatury. Technologię i konstrukcję urządzeń opatentowano, prototyp przeszedł pomyślnie próby w fabryce w Pabianicach, kolej więc na zastosowanie nowej metody w praktyce przemysłowej.**

Oszczędność drewna można osiągnąć nie tylko przez zastąpienie go trocinami lub makulaturą, ale także... drewnem, tylko innym. Obecnie przemysł celulozowo-papierniczy powszechnie wykorzystuje drewno z sosny i świerka. W tradycyjnych technologiach drewno z drzew iglastych nie było brane pod uwagę. Ma ono trzy razy krótsze włókna niż z drzew iglastych, co utrudnia produkcję i zmniejsza wytrzymałość papieru. **Badania naukowe wykazały jednak, że otrzymywanie papieru z drewna drzew liściastych jest nie tylko możliwe, ale i opłacalne.** Papier taki lepiej niż tradycyjny nadaje się do celów drukarskich, gdyż jest bardziej nieprzeźroczysty. Drewno liściaste jest przy tym surowcem znacznie tańszym niż iglaste, posiada więcej celulozy.

Foto: R. Łucyszyn

Prof. Edward Szwarcsztajn: — Mimo ścisłej współpracy z przemysłem, wiele cennych opracowań instytutu zbyt długo czeka na zastosowanie w praktyce.

Foto: R. Łucyszyn

Nic więc dziwnego, że w świecie wzrasta zainteresowanie wykorzystaniem nie stosowanych dotychczas w tej gałęzi przemysłu gatunków drewna. Całkowita produkcja amerykańskiego koncernu „International Paper Co" — to papier z drewna liściastego. W Polsce wykorzystujemy tylko drewno bukowe (w Świeciu) i brzozowe (w Ostrołęce, Świeciu i Kostrzynie), ale w niewielkich ilościach.

Naukowcy z IPiMP PŁ opracowali nowatorską w skali światowej technologię wykorzystywania innych gatunków drzew liściastych — topoli, grabu, dębu i olchy czarnej — do produkcji mas celulozowych. Metoda ta zakłada łączenie drewna liściastego z iglastym w różnych układach i proporcjach, zależnie od przeznaczenia produktu. Technologia ma być stosowana w kombinacie w Kwidzyniu.

Mimo ścisłej współpracy z przemysłem wiele cennych opracowań instytutu zbyt długo czeka na zastosowanie w praktyce. Z uznaniem należy więc odnotować fakt zorganizowania jesienią ubiegłego roku w PŁ sesji naukowej, podczas której naukowcy przedstawili przybyłym z całego kraju specjalistom zatrudnionym w przemyśle celulozowo-papierniczym piętnaście komunikatów o wynikach swych prac, zawierających konkretne propozycje ich zastosowania. Sesję połączono z obchodami 70 rocznicy urodzin nestora polskiej nauki o papierze, twórcy cenionej w świecie szkoły naukowej papiernictwa — prof. Edwarda Szwarcsztajna.

Prof. zwyczajny, Edward Szwarcsztajn, był założycielem oraz pierwszym i jedynym kierownikiem Katedry Technologii Celulozy i Papieru PŁ, a od roku 1970 — dyrektorem uczelnianego Instytutu Papiernictwa i Maszyn Papierniczych. Jest reprezentantem Polski w Europejskiej Organizacji Celulozy i Papieru „EUCEPA" członkiem Międzynarodowego Stowarzyszenia Naukowców i Techników Przemysłu Papierniczego TAPPI w USA, członkiem Sekcji Technicznej Federacji Producentów Papieru w Wielkiej Brytanii — międzynarodowej organizacji naukowo-technicznej, znanej z organizowania co cztery lata w uniwersytetach Oxford i Cambridge, najpoważniejszych na świecie sympozjów naukowych w dziedzinie papiernictwa. Czołowe ośrodki badawcze wielu krajów zapraszają prof. Szwarcsztajna do wygłaszania referatów i wykładów. Jest on lureatem wielu nagród i posiadaczem licznych odznaczeń z Orderem Sztandaru Pracy II klasy włącznie.

NIE TYLKO HISTORIA

Z RADZIECKICH POLONICÓW

Tym razem spóźniam się szpetnie ze sprawozdaniem, ale mam na usprawiedliwienie tylko to, że dzięki naszemu handlowi księgarskiemu dopiero teraz dostałem egzemplarz książki młodego historyka z Leningradu Jurija A. Limonowa, wydanej przez leningradzki oddział wydawnictwa „Nauka", pod auspicjami Akademii Nauk ZSRR. Dziełko to nosi tytuł (w tłumaczeniu z rosyjskiego): „Międzynarodowe więzi Rosji z krajami europejskimi w XV—XVII w." i w znacznej mierze dotyczy spraw polskich. Mówię o młodym wieku autora, bo go znam: przed kilkoma laty był u nas przez parę miesięcy, pilnie pracował nad naszymi źródłami historycznymi z czasów późnego średniowiecza i odrodzenia, ale nie tylko nad nimi. W dawnych rocznikach „Odgłosów" można znaleźć jego interesujący tekst, napisany podczas pobytu w Polsce, dotyczący problematyki leninowskiej.

Tytuł książki J. A. Limonowa mówi niewiele, jak na mój gust zbyt mało. Na książkę tę złożyła się seria wnikliwych, analitycznych studiów o charakterze źródłoznawczo-historiograficznym, poświęconych ruskim i rosyjskim źródłom informacji szeregu wybitnych autorów europejskich, którzy w XV—XVII w. pisali bądź to o dziejach Rusi i Rosji, bądź o historii Europy wschodniej. Najwięcej uwagi poświęcono tu tekstom polskim. Książkę J. A. Limonowa otwiera więc liczące prawie sto stron studium pt.: „Jan Długosz i ruskie latopisy", w którym autor, krytycznie nawiązuje do wyników dawniejszych badań, przedstawia w oparciu o obszerną dokumentację, w jakim zakresie wielki polski dziejopis znał i wykorzystywał ruskie źródła. Kolejne studium zostało poświęcone rosyjskim źródłom informacji „Traktatu o Dwóch Sarmacjach" Macieja z Miechowa, następne — analizuje pod tym samym kątem tegoż autora „Chronica Polonorum". Teraz pora na „Zapiski" Zygmunta Herbertsteina i ich ruskie informacje, a potem na niezmiernie interesujące studium o ruskich latopisach w dziełach Reinholda Heidensteina. Dwa ostatnie studia Polski już bezpośrednio nie dotyczą. Pierwsze z nich, to praca o ruskich latopisach w „Historia sui temporis" wybitnego francuskiego historyka z drugiej połowy XVI i początków XVII w. Jacques — Auguste de Thou, zwanego w skrócie Thuanusem, następne zaś rozpatruje rosyjskie źródła informacji dzieła „Moscovia", ściślej „Krótkiej historii Moskowii i innych mało znanych krajów", napisanej przez klasyka literatury angielskiej, poetę i — jak to często wówczas bywało — historyka Johna Miltona. Książkę J. A. Limonowa zamyka krótkie podsumowanie, w którym autor podkreśla, że przeprowadzona przezeń analiza różnych europejskich tekstów o Rusi i państwie moskiewskim wskazuje, że opierały się one nie tylko o własne spostrzeżenia zagranicznych autorów, dane pochodzące od różnego rodzaju podróżników itd., ale że nader często wykorzystywały one informacje, czerpane z różnych latopisów ruskich. „Znaczenia tego zjawiska nie należy niedoceniać. Latopisy stanowiły nie tylko źródła historiografii europejskiej, których wykorzystanie sprzyjało znajomości krajów Europy wschodniej; wniosły one określony wkład w rozwój i wzajemne kontakty piśmienniczych kultur narodów europejskich". J. A. Limonowowi udaje się stwierdzić także i proces odwrotny: oddziaływania obcych tekstów historiograficznych na ruskie latopisarstwo. Radziecki uczony nie poprzestaje na tym. Stwierdza on — co dla każdego, kto kiedykolwiek zetknął się bliżej z dziejopisarstwem ruskim, jest szczególnie istotne — że analiza dzieł Długosza i Miechowity pozwala nie tylko na skonstatowanie, że ich autorzy posługiwali się ruskimi latopisami, ale umożliwia zrekonstruowanie moskiewskiego zawodu latopisarskiego z lat 60-ych XV stulecia, który do naszych czasów się nie dochował, a jedynie został zrekonstruowany drogą żmudnych porównywań różnych tekstów przez radzieckiego badacza A. S. Nasonowa. Również i analiza innych polskich tekstów przynosi ważne ustalenia, dotyczące dziejów ruskiej historiografii XV—XVII stuleci. Całość rozważań autora kończy graficzny schemat zależności między latopisami ruskimi, a wybranymi dziełami europejskiej historiografii interesującego go okresu.

Obstawałbym przy tym, że tytuł tej książki zbyt mało mówi o jej treści. Rzecz idzie o związkach historiografii ruskiej i rosyjskiej z dziejopisarstwem innych krajów w okresie od XV do połowy XVII w., a o tym tytuł nie mówi nic. Polskiego czytelnika tej książki zajmie najbardziej to, co autor powiada w niej o naszej dawnej historiografii. Piękna to, bardzo precyzyjna, co się tyczy przeprowadzonych w niej analiz, wnikliwa rzecz, ta książka J. A. Limonowa.

ANDRZEJ F. GRABSKI

EUGENIUSZ IWANICKI

DO ZWROTOWNI I SPOD LADY

W czasie kiermaszu z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy odbywającego się w Alei Schillera, podszedłem do jednego ze stoisk z książkami i powiedziałem do panienki stojącej po drugiej stronie lady:

— Poproszę „Bezgrzeszne lata" Kornela Makuszyńskiego, ale chciałbym uzyskać autograf od autora. Czy będzie to możliwe?

— Zaraz — odpowiedziała panienka. — Zapytam koleżanek.

Wychyliła się w stronę sąsiedniego stoiska i krzyknęła:

— Dziewczyny, czy pan Makuszyński już jest?

— Jeszcze nie przyjechał!

— Niestety — powiedziała do mnie panienka. — Jeszcze nie przyjechał.

Podziękowałem i odszedłem pełen niewesołych myśli. Panienka była młoda, zapewne tuż po maturze i choć jej pokolenie nie zaczytuje się nieco staroświeckim autorem „Awantur arabskich" i „Listu z tamtego świata", to maturzystce wypada wiedzieć, że znakomity pisarz zmarł ćwierć wieku temu.

Zdarzenie to, raczej smutne niż zabawne, skłoniło mnie do poszukania odpowiedzi na następujące pytania: czym jest dziś zawód księgarza? Czy księgarz jest tylko i wyłącznie sprzedawcą pokazującym kupującemu towar, czy też doradcą czytelnika i przyjacielem pisarza? I czym różni się księgarstwo dzisiejsze od tego, które uprawiali Gebethner i Wolff? Jak to wygląda na łódzkim podwórku?

Zanim odpowiem na postawione wyżej pytania, chcę sięgnąć do księgarstwa historii najnowszej.

ZARAZ PO WOJNIE

Jeszcze nie zdążono ugasić płonących domów, a już pojawiły się pierwsze sklepiki oferujące papier, kredę, klej, a także książki. Były to pierwsze księgarnie na terenie kraju, w większości istniejące jeszcze przed wybuchem wojny. Jednak nowa władza dość szybko powoływała urzędy i instytucje i pod koniec 1945 r. w całej Polsce było zarejestrowanych już 618 placówek księgarskich prowadzonych przez spółdzielnie nauczycielskie; liczne punkty sprzedaży zaczęły otwierać spółdzielnie wydawnicze, takie jak „Książka", „Czytelnik", „Wiedza", „Państwowy Instytut Wydawniczy", „Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych". Mimo to sektor prywatny stanowił nadal 2/3 całego księgarstwa. W sumie, w całym kraju, było 899 punktów sprzedaży książek.

W owych pionierskich latach produkcja wydawnicza nie odzwierciedlała potrzeb czytelniczych, a poszczególne oficyny drukowały wszystko, co mogło przynieść zyski. Brak koordynacji sprawiał, że ten sam tytuł był wydawany jednocześnie przez dwa lub więcej wydawnictw, na półki księgarskie trafiały książki przypadkowe, często o wątpliwych wartościach literackich.

Przez kilka kolejnych lat poszukiwano wzorcowego modelu organizacyjnego, powołując w 1950 r. PP „Dom Książki", a osiem lat później „Składnicę Księgarską". I ta forma z niewielkimi zmianami, przetrwała do dziś.

ŁÓDŹ W TAMTYCH LATACH

Zanim wkroczyły do miasta wojska radzieckie, a oddziały hitlerowskie uciekły w popłochu, Jan Rogoziński już wykładał w oknach księgarni Fiszera i Seipelta przechowywane przez okupację książki polskie. A 19 lutego 1945 r. Marszałek Polski Michał Rola-Żymierski uroczyście przeciął wstęgę, otwierając pierwszą w Łodzi księgarnię, która stała się w ten sposób własnością Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego. Tą księgarnią był dzisiejszy „Pegaz".

W pięć lat później było w mieście już 30 księgarń, a na terenie województwa otwarto dalsze 42. Łączny roczny obrót zamykał się kwotą 18 mln zł.

Wspomniane wyżej księgarnie, szczególnie te w województwie, miały charakter sklepów papierniczo-księgarskich, gdzie książki stanowiły dodatek do zeszytów, ołówków, atramentu, bibuły, ozdób choinkowych itp. Jeszcze dziś w małych miasteczkach księgarnie sprzedają przy jednej ladzie dzieła Słowackiego i papier toaletowy.

JAK TO JEST DZISIAJ?

W Polsce zawsze istniało wielkie zapotrzebowanie na słowo drukowane, ale dopiero po ostatniej wojnie, książka stała się artykułem niemal pierwszej potrzeby. Niestety, o ile rozbudzenie apetytów zakończyło się pełnym sukcesem, o tyle z ich zaspokajaniem były i są poważne kłopoty, a ostatnimi czasy jest wręcz katastrofalnie.

Książek nie ma! Jest to paradoks, gdyż księgarnie są zapchane wydawnictwami, które na dobrą sprawę mogłyby wcale się nie ukazać i nikt przez to nie poniósłby szkody. Wydawnictwa zdają się zapominać o czymś takim jak potrzeby rynku. Drukują „cegły", które są utrapieniem księgarzy, zalegają na półkach, w magazynach, by po latach doczekać się przeceny. Ale często bywa i tak, że zanim wypłowieje na wystawie księgarskiej pierwsze wydanie, już ukazuje się następne... A czytelnicy bezskutecznie poszukują pozycji wartościowych, ambitnych, potrzebnych.

Nie chcę być źle zrozumiany: wartościowe książki są, ukazuje się ich sporo, nasi edytorzy otrzymują nawet nagrody za granicą za ich szatę graficzną, za piękne ilustracje, za znakomitą oprawę. Wszystko to prawda, jak prawdą jest, że tych książek nikt nigdy nie widzi na ladach księgarskich. Nakłady są znikome, a wypuszczenie na rynek pozycji 50-tysięcznej uważane jest za sukces! Najczęstszymi słowami, jakie od lat słyszę w łódzkich księgarniach są słowa „nie ma".

„PAWILONY" I CO Z TEGO WYNIKŁO

— Jestem bezradny — mówi z-ca dyr. do spraw handlowych PP „Dom Książki" w Łodzi **Jan Gruszczelak** — gdyż w istniejących księgarniach nie możemy rozwinąć nowoczesnej działalności. W Łodzi mamy 61 księgarń, a w trzech ościennych województwach (sieradzkim, piotrkowskim i skierniewickim) 45. Kiedyś sądzono, że wybudowanie wolnostojących księgarskich pawilonów całkowicie rozwiąże kłopoty. Moda jednak szybko minęła, a owe „pawilony" pozostały w Łasku, Kolumnie, Głownie, Zduńskiej Woli, Zelowie, Aleksandrowie, Mszczonowie, Żyrardowie, Konstantynowie, Zgierzu, Bełchatowie, Koluszkach, Sulejowie i Tuszynie. Celowo wymieniam te miejscowości, bowiem za parę lat trzeba będzie tam wznosić nowe księgarnie. W latach, kiedy je budowano, spełniały swoje zadanie, dziś są czynnikiem hamującym naszą działalność.

Dyrektor Jan Gruszczelak nie powiedział wszystkiego. Nie powiedział, że większość tych pawilonów, to zwyczajne sklepy, w których zamiast księgarza spotykam sprzedawcę, który i owszem, potrafi mi powiedzieć, że potrzebnej mi książki nie ma, albo jeśli jest, bez słowa położy ją na ladę, wypisze paragon, zapakuje i zajmie się czym innym. Taki sprzedawca nie jest doradcą czytelnika. Ale do tej sprawy wrócę.

Wrócę też jeszcze do owych „pawilonów" księgarskich. Ciasnota sprawia, że nie można w nich wprowadzić samoobsługi, nie można wydzielić działu księgarskiego, z reguły są to budynki nie podłączone do miejskiej sieci cieplnej, muszą mieć własnego palacza, troszczyć się o opał. Sytuacja jest taka, że „Dom Książki" pilnie poszukuje nowych lokali. Władze miast jeśli przydzielają, to na peryferiach miasta, w nowo wznoszonych blokach.

W Łodzi nie jest z tym najgorzej, ale za parę lat trzeba będzie szukać nowych pomieszczeń i nowych technicznych rozwiązań. Przebudowa śródmieścia pociągnie za sobą likwidację „Pegaza" z Piotrkowskiej 49. Jest to poważna strata, choć władze obiecują w to miejsce nową placówkę w ŚDM.

ZAPLECZE, JAKIE NIE POWINNO BYĆ

Dwa magazyny: z artykułami papierniczymi, płytami i książkami oraz zwrotownia, na dobrą sprawę są zaprzeczeniem tego, co zwykło się nazywać miejscem pracy. Pierwszy nie nadaje się zupełnie do przechowywania w nim czegokolwiek, trudny do ogrzania, wilgotny, nie ma urządzeń sanitarnych, bez ciepłej wody, ze „sławojką" w końcu podwórza. Jest to pofabryczny budynek przy ul. Zgierskiej 197, w którym pracuje 30 osób, większość prac wykonując ręcznie. Drugi z budynków, to zwrotownia. Właściwie jest to barak przy Kopcińskiego 33, zupełnie nieprzystosowany do wykonywania w nim prac związanych z książką. Obecnie budynek spełnia rolę mini składnicy księgarskiej co jest zupełnym absurdem, bowiem taka zwrotownia powinna przyjmować jedynie książki z defektami technicznymi albo takie, które przeznacza się na przemiał (mogą być również przechowywane tzw. rezerwy określonych tytułów przeznaczone na różne okolicznościowe akcje). W praktyce jednak zwrotownia zajmuje się ekspedycją nowości...

Odrębną sprawą jest transport: 9 żuków plus jeden robur, to samochody, które winny być dawno przekazane na złom. Jednak jakoś jeżdżą, choć nie zawsze docierają do celu i trzeba je ściągać z tras. Usługi przewozowe rozszerzają się i obejmują już całe dostawy z poszczególnych ekspozytur „Składnicy Księgarskiej" (potem te dostawy trzeba rozwieść do 106 księgarń), trzeba także odebrać książki wprost z drukarń i przewieźć do własnej sortowni... Jeśli połowa samochodów może wyjechać na trasy, w dyrekcji panuje świąteczny nastrój.

KSIĘGARZ – KTO TO TAKI?

Odwiedziłem kilka księgarń zadając księgarzom jedno pytanie: księgarz — jaki to zawód?

Ryszard Dynarzewski — kierownik księgarni naukowej z Piotrkowskiej 102: — Rozpoczynałem u Gebethnera i Wolffa, ale wówczas to inaczej wyglądało, zawód księgarza miał swoją wysoką rangę, bo księgarz obcował na co dzień z pisarzami, miał czas na czytanie. Dziś na nic nie ma czasu, trzeba się spieszyć, a i pisarze rzadziej odwiedzają księgarnie. Pracuję w tym zawodzie długo, lecz jest to wynikiem mojej miłości do książki i gdybym miał rozpoczynać od nowa, zacząłbym tak samo jak czterdzieści lat temu.

Jan Misiowiec — zastępca kierownika w „Pegazie": — Do księgarstwa trafiłem przypadkiem, bo akurat nic lepszego nie było. I tak już mijają 32 lata, jak stoję za ladą. Z dawnego księgarza pozostał tylko mit, jestem zwyczajnym sprzedawcą, a na bliższy kontakt z kupującym nie mam zupełnie czasu. W naszej księgarni obsługujemy dziennie około tysiąca klientów, a ponad trzy tysiące odchodzi załatwionych odmownie. Obliczyłem, że klientowi mogę, w najlepszym razie, poświęcić do 2 minut czasu. Jak więc tu mówić o bliższych kontaktach, o przejrzeniu nowości, o przeczytaniu czegokolwiek?

Teresa Galicka — zastępca kierownika w „Światowidzie": — Nie jest to wdzięczna praca, choć przyszłam tu pełna najlepszych chęci i zapału. Praca w księgarni ogranicza się w większości do pilnowania. Mamy u siebie, w dziale sprzedaży, wystawionych książek na milion złotych, kupujących są tysiące, a nas zaledwie jest cztery albo pięć osób. Niestety, książki giną. Więc gdzie jest czas na cokolwiek innego? Stoimy i patrzymy czy ktoś nie chowa pod marynarkę lub do torby. Mówiąc szczerze, mam dość takiej pracy.

Jolanta Wasińska — młodszy sprzedawca w „Pegazie": Najpierw była szkoła księgarska na Księżym Młynie, do której trafiłam przypadkiem. Było mi obojętne czego się będę uczyć. Ale wkrótce polubiłam to, czego nas tam uczono. Niestety, z chwilą rozpoczęcia pracy, odczułam zawód. Sądziłam, że jest to praca ciekawa, praca z książką, że będę mogła być pomocna dla kupujących. Praktycznie wygląda to tak, że wypisuję paragony, pakuję lub podaję książki. Przyszłam tu pełna zapału, a okazało się, wszystko inaczej. Wcale nie czuję się księgarzem, pracownikiem kultury. Jestem jak sprzedawca w sklepie z obuwiem czy koszulami. Jestem przekonana, że to, co tu robię, nie wymagało aż 5 lat nauki.

PROGNOZY I POTRZEBY

Tak więc odpowiedź na postawione na początku pytania jest jednoznaczna, co wynika ze zmieniających się warunków ekonomiczno-społecznych. Natomiast nie zmieniającym się od lat problemem pozostaje sama książka. Prognozy nie są najlepsze. Brakuje i będzie brakować książek, a w przypadku Łodzi od lat obserwuje się zmniejszanie ich przydziału. Oto Zjednoczenie Księgarstwa ustalając rozdział nakładów wg. „klucza" wynikającego z wielkości uzyskanych obrotów przez poszczególne przedsiębiorstwa, nie uwzględnia w moim przekonaniu faktu, że Łódź jest drugim miastem w kraju. Jest regułą, iż większe przydziały książek otrzymują poza Warszawą — Kraków, Wrocław, Poznań czy Katowice.

Znaczny ferment na rynku księgarskim wprowadza telewizja reklamując częstokroć egzemplarze sygnalne jakiegoś tytułu, który trafi do sieci dopiero po kilku miesiącach. Nazajutrz rozpoczyna się szturm do księgarń. Tak jest obecnie w przypadku „Kuchni polskiej" czy „Encyklopedii zdrowia", które zostały zaprezentowane jako będące w sprzedaży, gdy tymczasem w Łodzi nikt nic na ten temat nie wie.

Pasja ludzi i ich zaangażowanie się w pracy z książką trafiają częstokroć w próżnię. Stąd rozgoryczenia księgarzy i narzekania, że wymarzony przez nich zawód stał się ich zawodem życiowym.

W ciągu najbliższych 10 lat przybędzie nam 31 nowych placówek księgarskich. Czy przybędzie książek?

Kończąc ten, utrzymany w tonie minorowym, artykuł, chcę powiedzieć o ciekawej inicjatywie: mieszczącą się na placu Wolności nowoczesną księgarnię „Dom Książki" zamierza udostępnić łódzkiemu środowisku literackiemu. Będą się tam odbywać spotkania autorskie, oraz ciągła sprzedaż książek pisarzy mieszkających w Łodzi. Sądzę, że jest to sprawa ważna, bowiem jak dotąd nie ma swojej księgarni „Wydawnictwo Łódzkie", nie ma też księgarni literackiej, w której pisarz mógłby się spotkać ze swoimi czytelnikami.

Foto: R. Łucyszyn

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

* * *

Woda zielona i głęboka
Powoli mi zalewa usta
I świat ogromny, świat szeroki
Posoką w ustach moich chlusta.

Przecieka mi przez słabe dłonie,
Ucieka, — ach, niedotykalny,
I ręka, która za nim goni,
Zastyga w gest na pół błagalny.

O ziemio — wodo! Wszystko inne
Wydaje się nierzeczywiste —
I przez zielone tafle płynne
Przebłyska światło wiekuiste

(Lato 1932)

* * *

Omżone mgłą pierwotnych bytów,
Odwieczne śmierci narodziny
Splecione z krepy i błękitów,
Jak Wenus wstają wciąż z głębiny.

I my, i biedne nasze ciała,
Strząśnięte z mocnych ud bogini,
Staczamy się — jak piana biała,
Która w głębinie morza ginie.

Wplątani między byt i niebyt
Drogą półcienia, półbłękitu,
Naprawdę śmierci nie czujemy,
Jak nie widzimy nigdy szczytu —

Niby pszenicy twarde ziarna,
Mimo że żywa moc w nas drzemie,
Przemelci twardym kołem żarna,
Schodzimy w niebo, w piekło — w ziemię

(Lato 1932)

* * *

Znów spaść, jak w trumnę, w czarne puchy
Na wieczność snu — półsnu, półjawy
I w świadomości promień kruchy
Brać łeb anioła kędzierzawy

Przez całą noc się biczem smagać,
Ranić anielskich skrzydeł zorze,
I niepotrzebnie się tak zmagać:
Jakub z aniołem spać nie może.

(Lato 1932)

OKNO I DRZEWO

Drzewo i okno, dwa zatajone symbole
Tego, co się widzi i tego, co istnieje,
W ramie bez światła cień nieokreślony
I dłonie poruszane gestem przebłagalnym
Gałęzi, liści — rzeczy, które są przede mną,
Jako świadectwo zaciemnionego bytu.
Gdyby przestało wszystko istnieć, to jednakże
Zostanie myśl o istnieniu, możliwość istnienia
I płomienisty krąg, krąg, krąg odrodzenia,
Wiecznego życia jak niebo nade mną.
Ile więc razy przez okno spoglądam
W noc pełną strachu i pełną nadziei
Myślę, że przecie są jakieś pierwiastki
Wieczne — i radość w tej myśli znajduję.
Tak mało jest radości we mnie, mniej jeszcze
W tym czarnym świecie. Błysk taki więc stanie
Za wiele godzin rozmyślań samotnych.
O czym ty myślisz i po co ty myślisz?
Wystarczy spojrzeć na olbrzymie drzewo
I wyobraźnią soki jego śledzić,
Wieczną wędrówkę z korzeni do szczytu
I wieczny obieg z szczytu do korzeni.
Stań, zamilcz, zamilcz, o! zamilcz wewnętrznie,
Niech ci się myśli z sercem nie poplączą
I w tym milczeniu, unieruchomieniu,
W życiu i śmierci
Trwaj.

(Xenie i elegie, 1970)

Foto: A. Wach

* * *

Trudno określić tę poezję. Spolaryzowana między postawą attycką i azjanizmem, apollińską i dionizejską, jasnością i lękiem nocy (za Jaspersem można by rzec: normą Dnia i pasją Nocy), radosnym sensualizmem oraz postawą mądrej rezygnacji, często bliższej doświadczeniom orientalnej nirwany niż zawieszeniu aktywności *człowieka Zachodu — poezja Jarosława Iwaszkiewicza musi (przy próbach jej wyjaśnienia) doprowadzić do szczególnych paradoksów interpretacyjnych. Mimo wnikliwych książek sytuujących ją w kontekstach życia literackiego, w których poeta uczestniczył i które współtworzył (por. choćby J. Kwiatkowskiego —* Poezja Jarosława Iwaszkiewicza na tle dwudziestolecia międzywojennego), *mimo sumiennych analiz kolejnych tomów poety zostajemy przecież z niesprowadzalną do uschematyzowanej klasy doświadczeń literackich materią poetycką — samoistną, najbardziej samotną, wręcz monadyczną, której rozumienie osiągamy nie poprzez wiedzę literacką, ale poprzez współodczuwanie, współbytowanie w sferze wartości egzystencjalnych — w owych kręgach wspólnoty ludzkiej odkrywających się przed nami w miarę wytwarzania w sobie aktywnej postawy refleksyjnej. Poezja może najbardziej uniwersalna we współczesnych nam propozycjach literackich, a jednocześnie wprowadzająca prywatność przekorną, żartobliwą niekiedy (wiersze adresowane do siebie — Jarosława), transponująca poetycko elementy autobiografii poety i bliskich mu osób. Poezja, która nie wikłała się nigdy w strategie literackie, samookreślenia i manifesty — stwarzająca przecież układ odniesienia, genezę nawet dla zjawiska neoklasycyzmu, o które swego czasu toczono literackie spory. Poezja bez uczniów, bez „szkoły", bez epigonów, poezja swobodnie poruszająca się po obszarach zachodnioeuropejskiej myśli estetycznej i filozoficznej, a jednocześnie tak zakorzeniona, tak rdzennie polska — redukująca się często w tematach do kręgu lat dziecięcych i krajobrazów młodości, często zaś w sposób jawny prezentująca* obywatelskość *harmonijnie równoważącą ową* prywatność, *o której pisaliśmy wyżej.*

Właściwiej zatem będzie — iżby nie wikłać się w tych wszystkich dialektycznych opozycjach — przypomnieć Czytelnikowi poezję Jarosława Iwaszkiewicza poprzez krótki komentarz do kilku wybranych utworów, prezentujących najbardziej charakterystyczne tematy jego poetyckiego światopoglądu.

NOC

Na początek kilka cytatów z wierszy poety:

Noc jest Boga szpiegiem. Siostra noc mnie przygarnie połą swego płaszcza, I świat się odnajduje — w miarę jak świat znika. I spragniony dawno nocy Nieb poczuję w ustach mlecz. Jak opuszczony martwy okręt Płyniemy w noc — i nic już więcej. I gdy noc zatrze mnie i ciebie Najlepiej myśleć jest — daj dłoń. Noc nadchodzi — czarny trunek Który dławi mnie jak chusta. Ja tylko tak udaję, że się nocy nie boję.

To co śnimy — *mówi Gaston Bachelard* — nie należy do nas, nie jest naszą własnością. W stosunku do nas sen to grabieżca, najosobliwszy z grabieżców: ograbia nas z naszego własnego jestestwa. Noce nie mają historii, nie wiążą się z sobą.

Noc—sen to częste tematy poezji Iwaszkiewicza, tematy — obsesje rządzące artykulacją poetycką na wszystkich poziomach: od obrazowo-metaforycznego do uchwytnego planu poetyckiego światopoglądu, filozoficznego zaplecza tej poezji. Sen traktowany jest ambiwalentnie — daje spokój ale jest też bratem Thanatosa. Fascynacja śmiercią, doświadczenia człowieka w sytuacjach ekstremalnych jest leitmotivem całego pisarstwa Iwaszkiewicza. Jest jednak sen stanem, w którym — rozluźniając więzy z codziennością — wyobraźnia nasza stwarza nowy, oniryczny świat, kiedy jest zawieszona między stanem całkowitego stłumienia a marzeniem na jawie. Owo cogito marzycielskie przyporządkowuje sobie całą rzeczywistość, na miejsce poznania racjonalnego na jawie podstawia poznanie głębinowe, mityczne.

A jednak dramat snu. Walka z nocą — to rozpoznana poetycko walka Jakuba z aniołem. Walka ludzkiej ułomności z mroczną transcendencją. Walczący Jakub otrzymał wszakże znak przymierza, poeta może być jedynie pokonany; pierwiastka ludzkiego i anielskiego nie da się pogodzić.

WODA

Gdy Nic zapełnia się Wodą — odzyskujemy życie. Śpimy wówczas lepiej ocaleni przed dramatem ontologicznym. Pogrążeni w wodach głębokiego snu, spokojnego snu jesteśmy w harmonii ze światem, który jest światem pokoju. Ale czy będąc w harmonii ze światem w istocie istniejemy? Czy wody snu nie rozmyły naszego istnienia? W każdym bądź razie wkraczając w dziedzinę Nocy, pozbawionej historii, stajemy się istotami bez historii. Śpiąc tak w wodach głębokiego snu natykamy się niekiedy na wiry — nigdy na prądy. *(G. Bachelard).*

Woda w wierszach J. Iwaszkiewicza jako Żywioł tematologiczny *przyporządkowuje sobie dwa motywy: Prywatny topos Narcyza — doskonałości samoniszczącej się* (Sam, jak drzewo ponad wodą stoję) *oraz kulturowy topos katastroficzny (genetycznie związany z Potopem), w polskiej poezji często wykorzystywany w wierszach żagarystów i reaktywowany w katastroficznych wizjach Baczyńskiego i Gajcego. Jest ów topos także transpozycją poetycką zachodnioeuropejskich katastroficznych koncepcji kulturowych (Oswald Spengler, Paul Valery). W poezji autora* Ciemnych ścieżek *temat wody staje się topicznym syndromem realizującym te wszystkie tendencje. Katastrofizm* prywatny *wiąże się z eschatologicznym: metafizyczny niedosyt absolutu* (I przez zielone tafle płynne przebłyska światło wiekuiste) *łączy się z obrazem wody — zagłady świata. Wyraźniej widać to w* Europie *oraz* Nekrofilii, *w których to poematach odnajdziemy obrazowanie bliskie* Cmentarzom morskim *Paula Valery'ego. (Por.* Okno otwieram i patrzę na morze nocy Jak z wolna zalewa miasto. Ciche cmentarze siedzą, drzemiące zatoki, do których rzeka życia deltami się wlewa. Nad nimi stoją drzewa i płyną obłoki).

ODRODZENIE

Sytuowaliśmy poetykę Iwaszkiewicza w ciągu dialektycznych opozycji. I nie tylko śmierć nie tylko katastrofa *jest materią tej poezji. Biologiczna pasja życia tak często przez krytykę podkreślana, sensualizm tej poezji komplementarnie zrasta się z jej ciemnym nurtem. Śmierć — owa* Nieskończona śmierć *jest początkiem odradzania się.*

Od poczucia i przeżywania śmierci broni nas świadomość epikurejska (Ogród Epikura), biedne nasze ciała *stają się ziarnem odrodzenia, nowym siewem. Zostaje w końcu godność ludzkiego cogito* (Gdyby przestało wszystko istnieć, to jednakże Zostanie myśl o istnieniu). *Drzewo i okno — z przytoczonego wyżej wiersza,* dwa utajone symbole *są jednocześnie sygnałami trudnego, dojrzałego optymizmu. Drzewo jest pięknym memento dla naszej zrozpaczonej świadomości, jest pomnikiem wiecznego trwania poza nami. Okno zaś — to szczelina w owym monadycznym murze, w twórczej samotności, która gotowa jest zrezygnować z samej siebie w imię mądrej, koniecznej, żywej ciągle wspólnoty ludzkiej.*

HENRYK PUSTKOWSKI

Stanisław Ignacy Witkiewicz: Kompozycja z postaciami kobiecymi. 1917—20, tempera, olej, płótno. Własność Muzeum Narodowe, Kraków.
Foto: Z. Malinowski

WITKACY

Otwarta w Muzeum Sztuki w Łodzi wystawa monograficzna Stanisława Ignacego Witkiewicza (czynna do 7 kwietnia), prezentuje jego malarstwo, kompozycje pastelowe, działalność „Firmy portretowej", rysunki i fotografie.

Zgodnie z intencją organizatorów — Muzeum Sztuki w Łodzi i Muzeum Narodowego w Krakowie wystawa jest próbą zaprezentowania Witkacego jako „twórcy totalnego". Bardzo wcześnie ustalony i w ciągu wielu lat dopracowywany system filozoficzny stał się tej twórczości podstawą, dlatego też chciałabym zasygnalizować założenia teoretyczne Witkacego.

Określając zadania sztuki, Witkiewicz używa terminów swojej filozofii, pisząc, że celem sztuki jest „wzbudzenie w ludziach wrażenia oderwanej jedności w wielości i związanych z tym wrażeniem uczuć metafizycznych". Uczucie metafizyczne stanowiło termin szczególny — było przerażeniem samotności człowieka wobec całości Istnienia, ale jednocześnie jedyną godnością Istnienia Poszczególnego. Przeżywanie tego uczucia i potrzeba jego rozładowania wiązały się z powstawaniem Czystej Sztuki.

Istotą sztuki była Czysta Forma i wyrażane przez nią uczucia metafizyczne. Forma, pojęta jako konstrukcja wzajemnie się znoszących napięć kierunkowych i jako „bezpośredni wyraz uczucia jedności". Treść służyć ma ułatwianiu realizacji oraz właściwego odbioru napięć kierunkowych.

W twórczości Witkacego, oprócz niepokoju związanego z kondycją Istnienia Poszczególnego, istniało katastroficzne wręcz przekonanie o kończącym się duchowym rozwoju ludzkości. Wzrastająca demokratyzacja społeczeństw i ujednolicenie kultury prowadzić miały do zanikania uczuć metafizycznych i odrzucenia — nikomu już niepotrzebnej — sztuki, poprzedzonego zjawiskiem nienasycenia formą.

Uprawianie twórczości malarskiej traktował Witkiewicz jako praktyczną realizację założeń Czystej Formy. Obrazy, w większości eksponowane na wystawie w jednej sali, ukazują różne układy „napięć kierunkowych", organizujących kompozycję. Prezentowane w ten sposób, dają też widzowi zestaw charakterystycznych dla Witkacego form — udziwnionych stworów, fantastycznej roślinności i kształtów organicznych, kładzionych na powierzchnię płótna płaskimi, intensywnymi plamami kolorów, ograniczonych wyraźnym konturem. Płaskie formy udziwnionych postaci wyznaczają w obrazach ruch — nie będący futurystyczną iluzją gestów, ale wyznaczający kierunek wzajemnie się znoszących, harmonijnych napięć. Niemniej w malarstwie Witkacego występowała stała tendencja do komplikowania kompozycji, do potęgowania „perwersyjnych" kształtów i kolorów.

Być może to właśnie skłoniło go do rezygnacji z malarstwa jako dziedziny Czystej Formy. Nie znaczy to jednak, że w ogóle zrezygnował z twórczości. Nie traktując „Firmy portretowej" w kategoriach Czystej Sztuki, wypowiadał się nadal w literaturze i kontynuował swoje eksperymenty fotograficzne.

Po rezygnacji z malarstwa rozpoczął doświadczenia nad wpływem różnych środków na widzenie świata i twórczość plastyczną. Prezentowane na wystawie rysunki niezwykle silnie oddziałują niespokojną kreską, zagęszczeniem kompozycji, powtarzającymi się i znanymi z całej twórczości motywami. Są jakby krótkimi notatkami tworzonymi pod działaniem kokainy, alkoholu lub nikotyny, ale są na nich także zanotowane „faszerowane pomidory" kompot czy herbata. Precyzyjne rejestrowanie różnych narkotyków, stanów palenia i niepalenia miało prowadzić do osiągnięcia wysokiej świadomości tworzenia, było też swe-

TELEWIZJA

BEZ STANIA W KOLEJCE

Kiedy żona wróciła z porannych zakupów bez gazet, bo „pani" z kiosku nie doczekawszy się żadnej rekompensaty odmówiła odkładania dzienników, nadeszła mnie odkrywcza, jak sądzę, refleksja. Otóż telewizja jako jedna z nielicznych dystrybutorek dóbr nie zmusza nas do wystawania w kolejkach: jej prezenterzy i redaktorzy nie oczekują żadnych prezentów. Nie muszę zatem pamiętać o imieninach Jana Suzina, ani poszukiwać „delicji szampańskich" aby przypodobać się Edycie Wojtczak; bez bombonierki dopuszcza mnie do Filmoteki Arcydzieł Jacek Fuksiewicz. I jest w tym jakaś pociecha.

Choć gdyby było inaczej — zastanawiałem się teraz — „za czym" w tej kolejce do programu tv bym stanął, do którego z redaktorów uśmiechałbym się zapobiegliwie?

Kazimierz Karabasz, bohater audycji „Klasycy dokumentu" (15.III) wyreżyserował w poniedziałkowym teatrze „Śmierć komiwojażera". Po głośnych „Czarownicach z Salem" to druga sztuka Artura Millera, którą mogliśmy w TVP w krótkim czasie obejrzeć. Cokolwiek można byłoby o Millerze powiedzieć, jest on przede wszystkim wybitnym dramaturgiem — realistą. Zrozumiałe zatem, że właśnie Karabasz tę sztukę postanowił w teatrze TVP zaprezentować. Okazało się jednak, że telewizyjny model teatru, jaki od pewnego czasu się u nas ukształtował, a więc model sztuki statycznej i niby-hieratycznej, koturnowej i staroświeckiej (zamiast scenograficznej naturalności dekoracja i draperia, atmosfera kulis i sceny pudełkowej, papier-maché i malowanka), jest nie do przezwyciężenia nawet przez twórcę pracującego w innym (a bliższym przecież telewizji) żywiole artystycznym. Cóż z tego, że we wszystkich recenzjach, czy to z Fredry, czy Blizińskiego, z Wyspiańskiego (jakże irytujący był ten sztalugowy horyzont i te papierowe kamienie) czy Strindberga chwalono przede wszystkim aktorów, zapominając o tym, że winni być oni jednym z elementów całościowej koncepcji widowiska. Z reguły zresztą bywało tak, iż na tle całego zespołu wykonawców błyszczała jedna gwiazda, usuwając w cień całą resztę. Pisze się więc, z mieszanymi uczuciami, o nawrocie „teatru aktora", o wybitnych kreacjach, o olśniewającym warsztacie, tracąc z pola widzenia to, czym teatr, jeśli ma się nazywać telewizyjnym, powinien się charakteryzować. Pozytywnym przykładem niechaj będą tu emisje „Teatru tv na świecie" czy prawdziwie nieliczne polskie realizacje (A. Wajda, A Holland, K. Kieślowski, G. Królikiewicz), które pozwalają wierzyć w autentyczną sztukę małego ekranu.

Wracając do poniedziałkowej „Śmierć komiwojażera" trzeba powiedzieć że jest ta sztuka przede wszystkim realistycznym dramatem rozgrywającym się w konkretnym środowisku i konkretnym czasie a dopiero potem uogólnieniem i artystyczną metaforą. Kazimierz Karabasz zrobił na odwrót: najpierw jakby jakąś imaginacyjną psychodramę (zafascynowany — jak się zdaje osobowością i możliwościami aktorskimi Tadeusza Łomnickiego) a tylko w tle markował społeczne wymiary dzieła Millera. Czy można było się tego spodziewać po dokumentaliście i wybitnym realiście? Powiem tak: jak długo dla poniedziałkowych inscenizacji punktem wyjścia będzie teatr z całą swoją garderobiano-zestawokową konwencją tak długo nie będzie istniało oryginalne i specyficznie telewizyjne widowisko.

W piątek (21.III) obejrzeliśmy kolejną premierę Studia Faktu i Sensacji a mianowicie: „Proces Alberta Forstera" (scenariusz Jacek Kotlica i Andrzej Twerdochlitb), zrealizowany przez Jerzego Afanasjewa. Studio to, kierowane przez Michała Jagiełłę, zaleca się tymczasem bogatą oprawą propagandową. Mam tu na myśli liczne zapowiedzi o planach repertuarowych, wywiady szefa, prognozy programowe i inne informacje. Przyjmujemy to pełni nadziei i niecierpliwych oczekiwań. Ekspansywność nowego studia wyraża się w tym, że podczas ostatniego tygodnia co najmniej kilkanaście razy oglądaliśmy zapowiedź premiery Jerzego Afanasjewa. To dobrze. Jednak trzeba powiedzieć, że najlepsze widowiska faktu („Proces norymberski" J. Antczaka, „Przed burzą" R. Wionczka, „Trzeci Maja" G. Królikiewicza i parę jeszcze innych) powstały na długo, zanim Studio Michała Jagiełły uzyskało status redakcyjny. Formuła „Procesu norymberskiego" była swoistym telewizyjnym ewenementem, „Proces Rudolfa Hoesa" twórczym powtórzeniem, a kształt „Procesu Alberta Forstera" konwencjonalnym stereotypem. Oczywiście mam na myśli zamysł inscenizacyjny, bo przecież same fakty z działalności gauleitera Gdańska, nazistowskiego namiestnika odpowiedzialnego za bezwzględne unicestwienie polskości Gdańska domagają się ciągłej pamięci ku przestrodze całych pokoleń. Podjęcie tego tematu ma więc nie tylko charakter zwykłej rekonstrukcji historycznej. To wszystko prawda. Ale prawdą jest i to, że powielanie, nawet najlepszych wzorów, przynosi niekiedy efekty wprost przeciwne od założonych. Że oglądaliśmy „Proces Alberta Forstera" z uwagą, nie powinno zadowalać telewizyjnych twórców tego programu, a tym bardziej nie powinno satysfakcjonować szefów studia. Niechaj zapowiadanym faktom towarzyszą nieustanne i uporczywe poszukiwania takich środków wyrazu, które tym faktom sprostają.

GRZEGORZ GAZDA

FILM

„KUNG-FU"

Daniel Olbrychski i Andrzej Seweryn w filmie „Kung-fu"

Godzina 10, pierwszy seans w kinie, sala prawie pełna. Jeśli nie chodzi o dawny (vide „Przeminęło z wiatrem") czy współczesny filmowy szlagier, tego typu przypadki należą do rzadkości. Ta pełna sala jest kolejnym dowodem na to, że polski film, odzyskawszy już wcześniej swą publiczność, w dalszym ciągu proponuje jej utwory, które przyciągają do kina i skutecznie konkurują z tym, co przychodzi z zagranicy. Tak zaniedbany ongi temat współczesny jest główną pożywką obecnego polskiego filmu i jego najistotniejszym atutem.

„Kung-fu" Janusza Kijowskiego, bo o tym filmie dziś mowa, to kolejny laureat ostatniego festiwalu w Gdańsku. Otrzymał zań Janusz Kijowski nagrodę za najlepszy debiut reżyserski (ex aequo z „Arią dla atlety" Filipa Bajona) oraz wielce przez twórców w Gdańsku cenioną nagrodę dziennikarzy.

Wobec fali filmów, która z festiwalowego ekranu spływa powoli do kin całego kraju, formułuje się często, oprócz słów uznania, zarzut dotyczący przewagi intencji publicystycznej nad głębszą refleksją poznawczą i wartościującą. Mówi się także o tym, iż konsekwencją takiej postawy jest małe zróżnicowanie artystycznych form wypowiedzi, że brak w tych filmach piętna indywidualności poszczególnych reżyserów.

Jest w tych spostrzeżeniach nieco racji. Trudno jednak, obejrzawszy już dziś „Amatora" K. Kieślowskiego, „Aktorów prowincjonalnych" A. Holland, filmu „Klincz" Andrejewa, „Wodzireja" i „Szansę" F. Falka oraz „Kung-fu" J. Kijowskiego, oprzeć się wrażeniu, że lubimy szukać dziury w całym. Jeszcze nie tak dawno martwiliśmy się, że publiczność nasza przestała lubić polskie kino, narzekaliśmy na brak filmów o tematyce współczesnej, załamywaliśmy ręce nad nieudolnością warsztatową polskich kinematografistów. Twórczość Krzysztofa Zanussiego była wówczas głębokim oddechem i szansą naszego kina, wspieraną jedynie od czasu do czasu jakąś inną autorską wypowiedzią. Potem, w kierunku współczesności zwrócił się Andrzej Wajda, dzielnie, acz samotnie reprezentując tu swoje pokolenie. Obecnie dołączyła grupa młodych, która dając zadość oczekiwaniom na temat współczesny, legitymuje się jedocześnie profesjonalnymi umiejętnościami, których darmo wypatrywano w wielu filmach minionych lat. Stanowią one w mym przekonaniu dobry punkt startu dla rozwoju bardziej indywidualizującego się stylu poszczególnych reżyserów. Podkreślić należy jeszcze jeden rys szczególny omawianych tu filmów. W większości przypadków reprezentują one tzw. kino autorskie, reżyserzy są jednocześnie scenarzystami swych filmów. Utwór jawi się zatem jako pełna autorska wypowiedź jego twórcy, jest jego osobistym poszukiwaniem tematu, sposobu jego interpretacji i filmowej wizji.

Wszystkie te cechy określają też film Janusza Kijowskiego „Kung-fu" — opowieść o grupie 30-latków, a więc o pierwszym dorosłym pokoleniu, którego całe życiowe doświadczenie związane jest z powojenną historią kraju. Nie znaczy to jednak, że jest „Kung-fu" próbą analizy całości tego doświadczenia i wszystkich jego złożonych kontekstów.

Ukazuje Janusz Kijowski swych bohaterów u początku życiowej stabilizacji, czynnych zawodowo na tyle, że dalsze ich losy będą bardziej lub mniej udaną kontynuacją wybranej przez siebie drogi. Jest zatem „Kung-fu" analizą świadomości tej grupy w momencie, w którym nastąpiła już konfrontacja młodzieńczych marzeń z rzeczywistością zawodowego, społecznego i rodzinnego życia.

W czasie filmowych zdarzeń konfrontacja ta znajduje swe dramatyczne zawiązanie w sytuacji, gdy jednego z grupy dawnych przyjaciół spotyka ewidentna krzywda ze strony zawodowego środowiska, w którym pracuje jako inżynier konstruktor. Zaalarmowani przyjaciele śpieszą mu z pomocą, rozpoczyna się przebiegła, prowadzona z pełną świadomością reguł gry walka o sprawiedliwość. Te ostatnie dwa słowa chciałoby się w tym momencie wziąć w cudzysłów. Bowiem to, czego jesteśmy świadkami, i co jest konsekwencją zdobytego doświadczenia, wymyka się prostym etycznym ocenom, które zwykliśmy wydawać posługując się kategoriami: dobro i zło, prawo i bezprawie, sprawiedliwość i niesprawiedliwość.

Analizując naturalną i szlachetną w punkcie wyjścia reakcję grupy, ujawnia Janusz Kijowski proces rodzenia się tych samych metod, przeciw którym się występuje. Przeciw jednemu układowi montuje się układ nowy. Tytułowy w filmie, a wzięty z japońskich form walki, termin „kung-fu" znaczy tyle, co samoobrona. Reżyser filmu dopowiada, że „kung-fu" określa też pewną filozofię życia, której sensem głównym jest trwanie i przetrwanie. Smutna to filozofia i trzeba bardzo uważnie film ten oglądać i przyjmować, by móc w nią nie uwierzyć, bądź nie przekonać się do niej.

Ostrzeżenie to sformułować trzeba z dwóch zasadniczych powodów. Pierwszy wynika z prostej reakcji odbiorcy, który łatwo identyfikuje się z bohaterami filmu wówczas, gdy ich postacie przemawiają społeczną i psychologiczną prawdą. O sytuację tę w odbiorze filmu Kijowskiego nietrudno, bowiem tak znakomitego rysunku wielu na raz i tak znakomicie granych postaci dawno w naszym kinie nie mieliśmy.

Powód drugi tkwi w leitmotivie filmu, w powtarzających się scenach ćwiczeń i tańca, w których dominantą jest gest „kung-fu". Nieuniknienie kojarzy się on polskiemu odbiorcy z jednym z najtrwalszych symboli naszej kultury, który ma swe rozliczne sytuacyjne i gestyczne warianty: bywa „tańcem chocholim", „polonezem", „tangiem", „saltem", dziś mamy „kung-fu". Zawsze symbol ten wyrażał jednak jedno — stan pokoleniowej świadomości.

W będącym rozpoznaniem sytuacji filmie Janusza Kijowskiego chcę przyjmować „kung-fu" jako ostrzeżenie, a więc przyznać mu funkcję, którą zawsze symbolowi temu zwykliśmy przypisywać. Do takiej interpretacji zachęca nas także sam reżyser, którego film wydaje się mieć kilka zakończeń. Przyjęte ostatecznie, wydaje się wyrażać jakąś nadzieję. Takie rozumienie filmu „Kung-fu" pozwala mi wyłączyć go z zarzutów li tylko publicystycznych intencji.

EWA NURCZYŃSKA

WITKACY

go rodzaju podważaniem tradycyjnego statusu sztuki.

Z takiej właśnie eksperymentatorskiej i ironicznej postawy wynikała również działalność „Firmy portretowej". „Psychologiczną zabawę przy pomocy artystycznych środków", jak określał rolę „Firmy" jej twórca, uznajemy dzisiaj za działalność stricte artystyczną, antycypującą niejako współczesne „robienie sztuki" na gruncie negacji tejże.

O ile „Firma portretowa" była przy tym także wnikaniem w psychikę osób portretowanych, poszukiwaniem w nich wartości Istnienia Poszczególnego, o tyle zaprezentowane zdjęcia są dowodem penetrowania własnej osobowości. Te dwa działy twórczości świadczą o jego fascynacji ludzką twarzą, problemem wyrażania autentycznych stanów psychicznych i kolejnych masek. W fotografiach zwraca dodatkowo uwagę niezwykłe w tym czasie docenianie aparatu fotograficznego, świadome badanie specyfiki przekazu fotograficznego. Zdjęcia na których Witkacy prezentuje swoje pozy, miny w powtarzających się seriach, mogą świadczyć o zacieraniu przez artystę granicy między autonomią życia i sztuki, rozciąganiu twórczości na życie.

Wystawa, organizowana z zamiarem uczczenia minionej we wrześniu ubiegłego roku 40 rocznicy samobójczej śmierci Stanisława Ignacego Witkiewicza, jest wyrazem fascynacji osobowością człowieka i twórcy, którego życie i działalność były próbą walki o wartości ludzkie w sytuacji autentycznego, egzystencjalnego „przerażenia światem". Wystawa jest też potwierdzeniem rosnącego wpływu Witkacego, w którego dziele współcześni artyści odnajdują bliskie sobie idee, a którego obawy o śmierć sztuki stały się pytaniem wielu krytyków współczesnej kultury.

Warto podkreślić znakomitą ekspozycję, dzieki której twórczość Witkacego jest widoczna w całej swojej złożoności i jednolitości. Wyodrębnienie na wystawie różnych dziedzin jego sztuki, a jednocześnie ich „zachodzenie" na siebie, przenikanie malarstwa do kompozycji pastelowych, fotografii do firmy potretowej, oddaje właściwe dla Witkacego drążenie stałych problemów i próby ich rozwikłania na różne sposoby.

HANNA GRZESZCZUK

Stanisław Ignacy Witkiewicz: Kompozycja fantastyczna 191 5—20, olej, płótno. Własność: Muzeum Narodowe, Warszawa.

Foto: A. Kowalska

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

NOTATNIK SYRYJSKI

2 grudnia 1979

Wraz z Ryszardem Matuszewskim, krytykiem literackim, ongiś współzałożycielem „Kuźnicy", wsiadamy do samolotu, który ma nas w ciągu paru godzin przenieść do Damaszku. Dwutygodniowy pobyt, w ramach umowy o współpracy między Związkiem Pisarzy Syryjskich i naszym Związkiem Literatów, ma wszelkie cechy rekonesansu. Tak niewiele w gruncie rzeczy wiemy o życiu codziennym tego dalekiego kraju, jego kulturze, cywilizacji, obyczajach. Te sprawy przesłania nam polityka, ogrom napięć i permanentne zagrożenie pokoju w tym kącie świata.

Pragnąłbym przedrzeć się przez gęstą zasłonę komentarzy i komunikatów prasowych, by dotrzeć do spraw zwykłych, codziennych, ważnych, bo stanowiących elementarne cząsteczki życia ludzkiego. Obowiązkiem pisarza jest chyba penetrować swoją własną ścieżką te nie doceniane w zgiełku konfliktów obszary i dawać świadectwo o ludziach, ich pragnieniach i aspiracjach, o życiu, które płynie niezależnie od wielkich wydarzeń, niejako w ich cieniu.

3 grudnia

Budzi mnie basowy śpiew, głęboki, wibrujący, nasycony ekstazą. Jest tak bliski, jakby ktoś śpiewał w pokoju, w którym się znajduję. Przyśpiesza mi to przejście od głębokiego snu do rzeczywistości. A to głos muezzina, nagrany zresztą na taśmę magnetofonową i odtwarzany przez potężny głośnik. Nawołuje w ten mechaniczny sposób z pobliskiego minaretu wiernych do modlitwy, rozpoczynając swą formułkę od słów: „Allach Akbar". Odtąd wezwanie to będzie nam towarzyszyć pięć razy w ciągu dnia przez cały pobyt w Syrii.

Jeszcze nie wybrzmiał głos, który mnie zbudził, a już rozlegają się inne, podobne, z różnych kierunków i odległości. Damaszek ma ponad dwieście meczetów.

Wchodzę na bulwar Port Said. Po lewej stronie w świetle estakady, którą przebiega druga jezdnia, widnieje budynek dworca kolejowego. Mnie interesuje bardziej kierunek przeciwny, gdzie w pewnym oddaleniu miasto poczyna wspinać się tarasami na stok panującej nad nim góry Kassioun. Ulica jest szeroka i zgiełkliwa. W obie strony płyną nieprzerwanymi strumieniami samochody najróżniejszych marek, ale szczególnie dużo proweniencji japońskiej: hondy, toyoty, mazdy, datsuny. Kierowcy prowadzą ostro, zajeżdżając sobie nawzajem drogę i nie przestrzegając pierwszeństwa przejazdu. Pośród aut pojawia się Arab w turbanie i długiej białej szacie — na jucznym osiołku, jakby przeniesiony wprost z baśni tysiąca i jednej nocy. Zwierzę, które nie zasługuje na to, by uchodzić za synonim głupoty, bez tremy włącza się do zmotoryzowanego ruchu i radzi sobie znakomicie.

Przyglądam się ludziom. Przeważa strój europejski, młodzież w dżinsach lub w drelichowych mundurkach kroju wojskowego. Dość często pojawia się jednak także ubiór ludowy, najróżnorodniejszy. Długie do ziemi luźne suknie, najczęściej czarne, białe, lub brunatne (ale także i w innych kolorach), noszone przez kobiety i przez mężczyzn. Męskie nakrycia głowy: chustki, najczęściej białoróżowe, przerzucone przez ramię i zasłaniające usta przed zimnem i wiatrem, białe chusty spływające na ramiona i spięte nad czołem ciemną wstążką, turbany, fezy egipskie, turbany nawinięte na fezy — i tak dalej, i tak dalej.

To nie imamowie, duchowni mahometańscy, jak przypuszczałem. W Syrii, w której panuje bardzo liberalny w porównaniu z szyickim obrządek sunnicki, nie ma w ogóle duchownych z profesji. Każdy nabożny mężczyzna może w meczecie prowadzić modły, jeśli skupi się wokół niego przypadkowa grupa wiernych i podda jego przewodnictwu. Gdy modlitwa się zakończy, grupa rozchodzi się, by może już nigdy nie spotkać się w tym składzie.

Zdarzają się wśród tłumu, choć rzadko, kobiety zasłaniające całkowicie głowę i twarz czarnym tiulem czy inną materią, dość gęstą, by zasłonić przed innymi rysy twarzy, a dość przejrzystą, by można było widzieć przez nią drogę przed sobą. Ten obyczaj, będący szczególnym anachronizmem na tle nowoczesnego ruchu ulicznego, neonów i sklepów z japońskimi adapterami i magnetofonami kasetowymi, jest dobrowolnie przyjętym przez niektóre kobiety obowiązkiem. Żaden przepis Koranu tego nie nakazuje, nie żądał tego Mahomet. Może nieszczęśliwe niewolnice zacofania spełniają wolę zazdrosnych małżonków?

Kobiety — widma z zakrytymi twarzami nie rażą tu nikogo, w tym samym stopniu jak nie rażą i te w farmerkach lub krótkich spódniczkach, prowadzące się ze swoimi chłopcami czy mężami pod rękę, siedzące w kawiarniach.

4 grudnia

Mercedes przebija się bulwarem Bagdad ku rogatkom miejskim. Jedzie nas czterech, oprócz Ryszarda i mnie — kierowca Abu Najew (co znaczy Ojciec Najewa, imię syna zastępuje nazwisko) i Majid Jammoul, ktory towarzyszy nam jako tłumacz. Majid jest z zawodu artystą — rzeźbiarzem i tylko z sympatii dla Polski i Polaków podjął się spełniać przy nas rolę tłumacza. Jest on absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, ale nim tam rozpoczął studia, przeszedł roczny kurs języka polskiego w Łodzi, w „Wieży Babel" przy ul. Kopcińskiego. W Łodzi spotkał kobietę swego życia, ożenił się z nią i wywiózł po studiach do Damaszku. Mają chłopczyka, mówiącego równie dobrze po polsku jak i po arabsku.

Wyskakujemy z miasta szosą wiodącą ku dalekim brzegom Eufratu i granicy irackiej. Drugą jezdnię wypełnia sznur ciężarówek stojących i czekających na wjazd do Damaszku. Mężczyźni ubrani po cywilnemu, których przynależność do sił policyjnych zdradzają tylko automaty przewieszone przez szyję, sprawdzają dokumenty, zaglądają pod plandeki. Każda ciężarówka wjeżdżająca do stolicy podlega takiej kontroli w ramach walki ze spekulacją i przemytem.

W pewnej odległości od miasta wielki parking, a na nim samochody wszelkich marek, ciężarówki, dźwigi samojezdne, spychacze, maszyny rolnicze. Wszystko wystawione na sprzedaż. Sektor prywatny w Syrii jest bardzo silny, nie brak tu i milionerów. Państwo w zasadzie dba tylko oto, by majętności zdobywane były metodą legalną.

Krajobraz zmienia się. Za nami zostały wsie ze sklepikami oferującymi stosy mandarynek i pomarańczy wprost z drzewa, stopniowo zanika roślinność. Jedziemy płaskim terenem, ciągnącym się jednostajnie w kierunku widniejącym na horyzoncie wzgórz. Ziemia wkoło gliniasta, ubita. Od czasu do czasu zgrupowania dużych namiotów, a wokół nich pasące się stada owiec (co one znajdują tu do jedzenia?). W taki sposób prezentuje się nam Pustynia Syryjska, która ciągnie się stąd na przestrzeni kilkuset kilometrów. W namiotach mieszkają nomadowie. Przenoszą się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu pastwisk dla swoich stad. Nie uznają paszportów ani granic, gdy trzeba, przenoszą się do Iraku lub do Jordanii.

Szosa ulega rozwidleniu, dalej na wschód biegnie w stronę Mezopotamii, my skręcamy w odnogę północnowschodnią, wiodącą do Palmiry.

5 grudnia

Jeszcze dziś rozpamiętuję wczorajsze wrażenia z Palmiry. Dawna nazwa, do której dziś się tutaj wraca, Tadmar, co tłumaczy się: Coś pięknego. W II i III wieku n.e. powstało tu potężne królestwo, dorabiające się na handlu ze Wschodem. W 273 roku cesarz rzymski, Aurelian, pokonał królową palmirską, Zenobię kładąc kres temu państwu.

Palmira to dziś jeden z najwspanialszych na świecie kompleksów zabytków antycznych, na miarę Forum Romanum — z zachowaną wielką świątynią Baala i główną ulicą miasta, z portykami, kolumnami i bramami.

W miejscowym muzeum wita nas po polsku kustosz Ahmed Taha. Włada naszym językiem płynnie, choć literę „p" wymawia z reguły jako „b". Ukończył studia archeologiczne w Warszawie u profesora Kazimierza Michałowskiego. Z Polakami styka się stale, gdyż do Palmiry często przyjeżdżają nasze ekipy archeologiczne. Popijając herbatę, którą tu z reguły częstuje się każdego gościa, dowiadujemy się, że wielki posąg przed wejściem do muzeum, przedstawiający lwa i antylopę, czyli symbol siły i słabości, to wykopalisko dokonane przez Polaków. Podobnie jak rzeźba Ateny, którą nasi uczeni odkryli na terenie obozu Dioklecjana w pobliżu Palmiry.

6 grudnia

Wczorajszy dzień spędziliśmy w Homs. Miasto rozmiarów naszej Częstochowy, leży o 155 kilometrów na północ od Damaszku. Jest znacznie mniej zeuropeizowane niż stolica kraju. W ciągu dnia zwiedzaliśmy zabytki, w szczególności meczet Ibn Al-Walida. Wieczorem oczekiwali nas w lokalu swojego związku tutejsi pisarze. Na dwudziestu żyjących w Homs przyszło ich na spotkanie piętnastu.

W kamienicy z końca XIX wieku, odpowiednio zaniedbanej, przeżyliśmy ciekawy wieczór. Powitał nas sędziwy prezes oddziału, działacz lewicowy, Murad Alsibal. Natychmiast niemal wytwarza się atmosfera autentycznego zainteresowania naszym krajem i jego literaturą. Obaj z Matuszewskim staramy się udzielić jak najwięcej informacji dotyczących przeszłości i dnia dzisiejszego naszego pisarstwa.

W pewnym momencie przybywa spóźniony gość. Przedstawiają go nam jako dr Samira Dahera, muzykologa. Mówi ładną francuszczyzną. Z jego ust padają, ku naszemu zdumieniu nazwiska Wyspiańskiego, Micińskiego, Iwaszkiewicza. Zna muzykę Szymanowskiego, jest wielbicielem Chopina. W obszarze kultury polskiej obraca się ze swobodą i znajomością przedmiotu. Aż zazdrość bierze, że my nie potrafimy zrewanżować się mu podobną znajomością literatury arabskiej...

Po wspólnej kolacji, na którą złożyły się przysmaki tradycyjnej kuchni arabskiej (kebaby, szaszłyki, pilaw), lądujemy późnym wieczorem w mieszkaniu poety Aboul Rahima Alhosni. Wita nas uśmiechnięta pani domu i córka, która w tym roku zdaje maturę. Na stole pojawia się herbata i orzeszki pistacjowe.

7 grudnia

Opuściliśmy Homs wczoraj rano, udając się w kierunku portowego miasta Latakija. Droga nasza wspinała się na wzgórza, przechodzące dalej w masyw górski Antylibanu. Na jednym z takich wzgórz panuje nad rozległą przestrzenią potężny zamek zbudowany przez krzyżowców — Krak des Chevaliers. Potężna warownia, rozbudowywana w XII i XIII wieku, zachowała się wspaniale. Krążymy zafascynowani po jej usytuowanych na różnych poziomach podwórcach, po mostach zawieszonych nad fosami, po zwieńczonych blankami murach. Dla Syryjczyków to dokument tragicznego okresu ich dziejów. Podejmowane przez europejskie rycerstwo krucjaty, stawiające sobie cele religijne, w krótkim czasie przeobrażały się w wojny łupieżcze, nękające i wyniszczające kraje arabskie. Przez prawie trzysta lat znosić musieli Arabowie obecność krzyżowców na swoich ziemiach.

Kilkanaście kilometrów dalej ulokowany w górach klasztor św. Jerzego. W Syrii żyje niemało chrześcijan, a głową ortodoksyjnego kościoła syryjskiego jest patriarcha Antiochii. Opat klasztoru z gościnnością, do której przyzwyczailiśmy się w tym kraju, zaprasza nas na skromny, klasztorny obiad.

Wkrótce potem przejeżdżamy tuż obok granicy syryjsko-libańskiej, by drogą wzdłuż Morza Śródziemnego dotrzeć do leżącego już blisko granicy tureckiej Latakiji. Tu także spotykają nas miejscowi pisarze. Zwiedzamy szybko rozbudowujące się miasto i port, do którego zawijają często statki z biało-czerwoną banderą.

Zaledwie dziesięć kilometrów od Latakiji znajdują się wykopaliska Ugaritu. Prace archeologów od lat pięćdziesięciu wyłoniły spod pokrywy ziemnej mury i ulice miasta, które liczy sobie ponad 3000 lat. Tutaj odkryto również tabliczkę z alfabetem ugaryckim (obejrzymy ją później w muzeum w Damaszku), który stanowi najstarsze znane na świecie ukształtowane pismo o charakterze klinowym.

8 grudnia

Wczoraj wieczorem wróciliśmy do Damaszku, przejeżdżając w pobliżu miasta Tartus, obok cementowni, przy której budowie pracują polscy inżynierowie i robotnicy.

9 grudnia

Składamy wizytę w Ministerstwie Kultury i Sztuki, u dyrektora departamentu przekładów z literatur obcych, Antoine'a Makdesse. Płynnie operuje francuskim. Rozmowa ujawnia, że jest chrześcijaninem. Jak widać, wyznanie nie stanowi w Syrii żadnego ograniczenia w karierze politycznej, społecznej czy zawodowej.

Jak dotąd, nie ukazał się w Syrii żaden przekład z naszej literatury. Gospodarz zastanawia się nad możliwością tłumaczeń książek polskich za pośrednictwem języka trzeciego, francuskiego lub agnielskiego. Dlatego największe szanse na ukazanie się drukiem w Syrii mają te utwory polskich pisarzy, które uprzednio były tłumaczone na jeden z języków światowych.

Po wizycie zwiedzamy stare miasto w Damaszku i w nim suk czyli bazar. Opis da niewiele ponad to, co można wyczytać w folderach. Niezapomniane wrażenia.

10 grudnia

Mercedesem 70 kilometrów do Kunejtry (Qnaytra), położonej u stóp wzgórz Golan, na samej linii wstrzymania ognia między Syrią a Izraelem. Do Kunejtry wożą Syryjczycy swoich gości, by pokazać im kilkudziesięciotysięczne dawniej miasto, obecnie totalnie zniszczone przez okupanta izraelskiego.

W 1967 roku Kunejtra została zdobyta przez Izraelczyków. Okupacja jej i sąsiednich terenów trwała do 1974 roku, kiedy to ofensywa wojsk syryjskich oswobodziła miasto. Wprawdzie później, po ustaniu walk na froncie egipskim, Izraelczykom znów udało się odbić Kunejtrę, ale w wyniku zawieszenia broni i negocjacji powróciła do Syrii.

Słuchamy Riada Dauwisha, inspektora szkolnego na okręg Kunejtra:

— Miasto nie musiało być zniszczone — mówi. — Od działań wojennych ucierpiało stosunkowo mało. Izraelczycy potraktowali Kunejtrę jako pogróżkę pod naszym adresem, sprowadzając buldożery, które starły miasto z powierzchni ziemi. Opuszczając miasto, wymalowali na resztkach murów napisy w rodzaju „My tu jeszcze wrócimy".

Przez lornetkę obserwujemy ruch ciężarówek po tamtej stronie i szczyty wzgórz Golan, na których przyczaiły się radary i baterie izraelskie, wymierzone w serce Syrii — Damaszek.

11 grudnia

Wycieczka w góry na północ od Damaszku. Niezwykle malownicze miasteczko Malula, wtłoczone w wielką rozpadlinę skalną. Domy pną się tarasami na strome stoki. Potem inne miasteczko górskie — Saydnaya. Zwiedzamy klasztor Notre-Dame, w którego kaplicy przechowywana jest cudowna ikona Matki Boskiej, ściągająca tu liczne pielgrzymki wiernych.

12 grudnia

Spotkanie w redakcji pisma „Al Thawara", nie jedyny zresztą nasz kontakt z dziennikarzami syryjskimi. Znów zasypywani jesteśmy pytaniami o Polskę.

— Patrzymy na wasz kraj z szacunkiem — mówi dyrektor Ahmad Sawan. — Rozumiemy, jak wiele moglibyśmy się od was nauczyć. Losy naszego narodu to cztery wieki panowania tureckiego, hamującego normalny rozwój i tępiącego wszelką samodzielną myśl. Rzezie, publiczne egzekucje inteligencji arabskiej, miały na celu pognębienie naszego ducha narodowego. Od 1918 roku do końca II wojny światowej byliśmy podporządkowani Francji jako terytorium mandatowe. Francuzi zakładali u nas szkoły podstawowe i licea, stwarzając pewne podstawy dla samodzielnego rozwoju, ale jednocześnie władze polityczne Francji dążyły do pełnej izolacji naszego kraju od reszty świata. Tak więc, mimo że na tych ziemiach zachowały się pomniki kultur należących do najstarszych w świecie, sięgających 4000 lat, jak ugarycka, Mari, Ibla, to przecież dziś stoimy wobec palącej potrzeby odrobienia zacofania kulturalnego i cywilizacyjnego kraju. To wielkie ogólnonarodowe zadanie, które jest już realizowane.

13 grudnia

Tym razem wycieczka w pobliże granicy z Irakiem. Starorzymskie mozaiki w Szabie, wielki teatr pod gołym niebem, z amfiteatrem na piętnaście tysięcy widzów, także z okresu rzymskiego, w miasteczku Bosra.

14 grudnia

Spotkanie z pisarzami mieszkającymi w Damaszku. Obecny jest prezes związku pisarzy arabskich w Syrii, Akli Okla Arsan, pisarz, reżyser teatralny i działacz polityczny partii Baas.

— Zupełnie błędne są opinie — mówi — że islam stanowi przeszkodę dla rozwoju teatru. Najróżniejsze formy parateatralne, występy wędrownych aktorów, miały miejsce od stuleci. Po odzyskaniu niepodległości czynne były w Syrii teatry prywatne. Od piętnastu lat istnieje w Damaszku teatr państwowy, w którym właśnie mam reżyserować „Makbeta".

— A jak z dramaturgią syryjską?

— Raczej mówimy o dramatopisarstwie arabskim. Jesteśmy przecież jednym narodem i mamy wspólny język. Dramatyczne losy narodu arabskiego w jego walce z Izraelem znajdują szczególnie mocny wyraz w sztukach Syryjczyka Saadallaha Wannusa („Widowisko na cześć piątego czerwca"), Egipcjanina żyjącego w Libanie, Alfreda Faraża („Płomień i oliwa"), Palestyńczyka, Maina Bsiso („Rewolucja Murzynów"), Libańczyka, Jakuba Al Szadrawi („Pistacje") i wielu innych.

15 grudnia

Pożegnalne przyjęcie w ambasadzie polskiej. Obecni są pracownicy ambasady z ambasadorem i grupa pisarzy syryjskich, m.in. Mahat Farach El-Khoury, która przed miesiącem była w Polsce. Ostatnia wymiana informacji i próba porządkowania licznych wrażeń. Odlatujemy z przekonaniem, że była to wizyta pożyteczna. Wykazała, jak mało o sobie wiemy, wzmogła obustronną chęć bliższego poznania.

Spotkanie na Pustyni Syryjskiej. Od prawej: obok Beduina: Abu Najew, Majid Jammoul i autor reportażu.

Foto: R. Matuszewski

MUSZILUANDA ZNACZY LUANDA

Nazwę tej afrykańskiej stolicy z szerokim widokiem na błękitne wody południowego Atlantyku nadali miejscowi rybacy. W 1575 roku portugalski żeglarz Paulo Diaz di Novaiz, odbywając powtórną podróż do Afryki kazał zarzucić kotwicę w rozległej lagunie, w pobliżu małej wioski rybackiej. Uzbrojeni po zęby marynarze zaczęli wypytywać rybaków o nazwę tego miejsca. Ci, sądząc, że obcy przybysze chcą wiedzieć, czym się tutaj ludzie trudnią odpowiadali: „musziluanda", co w tłumaczeniu z ich ojczystego języka kimbundu, znaczy „rybacy". Później rozpoczął się podbój kraju i ujarzmianie jego mieszkańców.

Kolonizatorzy nie zadali sobie trudu, żeby uściślić znaczenie niezrozumiałego dla nich słowa i po prostu przeinaczyli je na własny użytek: z „Musziluanda" na „Luanda". W podobny sposób postąpili zaborcy szukając nazwy dla zagarniętego kraju. Ówczesnego władcę tego państwa nazywano „ngola Kiluane". W języku kimbundu znaczyło to: „król Kiluane". Portugalczycy dodali bez dłuższych ceregieli do słowa „ngola" rodzajnik „a" i zaczęli je wymawiać „angola". Tak powstała nazwa — Angola.

Luanda już od bardzo dawna jest jedną z największych i najruchliwszych stolic na zachodnim wybrzeżu Afryki. Szczególną uwagę całego świata przyciąga w ostatnim pięcioleciu. Tutaj, w tym bardzo wyniszczonym, ale pełnym sił żywotnych tonącym w przepysznej zieleni i niezwykle pracowitym mieście, wydano ostateczny wyrok na potężne niegdyś kolonialne imperium portugalskie.

Wydawało się, ze miasto już nigdy nie zaleczy ciężkich ran odniesionych w 1975 roku, nie wytrzyma rasistowskiej agresji. Tylko ten, kto przeżył w Luandzie te burzliwe i pełne trwogi jesienne dni 1975 roku może bezstronnie ocenić, jak wielkie sukcesy osiągnęli jego mieszkańcy w ostatnich latach pod kierownictwem MPLA-PT — Ludowego Ruchu Wyzwolenia Angoli — Partii Pracy. Wtedy to, w październiku 1975 roku, w mieście przebywały jeszcze wojska portugalskie, utrzymując w swych rękach lotnisko wojskowe twierdzę San Miguel i bazę wojskową. Ochraniały też pałac, w którym pracował rząd przejściowy, sformowany przez MPLA. Żołnierze portugalscy mieli już tej wojny w Angoli po dziurki w nosie i każdą wolną chwilę spędzali na murach fortecznych. Za butelkę whisky czy pudełko papierosów można było od nich dostać mundur, rewolwer, nóż, pistolet automatyczny wraz z nabojami.

Bardzo złożoną sytuację w Luandzie pogłębiała masowa ucieczka z miasta Portugalczyków i podążające forsownym marszem w stronę stolicy, z południa i północnegowschodu, wojska interwentów: oddziały armii południowoafrykańskiej, bandy UNITA, najemnicy różnej maści i oddziały FNLA Całe to wojsko zamierzało do 10 listopada zająć stolicę i nie dopuścić do proklamowania niepodległości Angoli.

Ucieczka 400 tysięcy Portugalczyków, którzy zabierali z sobą wszystko co tylko mogli unieść, odcisnęła swoje piętno na całym mieście. Na lotnisku leżały, sięgając drugiego piętra gmachu portu lotniczego, góry skrzyń i pakunków z mieniem wyjeżdżających. W porcie morskim bagaże złożone jedne na drugich tworzyły stosy wysokości dwudziestu metrów.

Wyjeżdżali przede wszystkim pracownicy inżynieryjno-techniczni i znaczna część robotników z zakładów przemysłowych. Uciekinierzy wywieźli z sobą trzy tysiące samochodów osobowych i 28 tysięcy ciężarowych. Wszystko czego nie mogli zabrać — niszczyli. Szeroka, nadbrzeżna aleja Marginal przekształciła się w śmietnisko złomu. Leżały na niej tysiące celowo zdewastowanych samochodów osobowych i ciężarowych. Spychano je gorączkowo na pobocza alei, niszcząc słupy latarń i kamienne ogrodzenia.

W zatoce ucieknierzy zatapiali dziesiątki i setki rybackich kutrów. Z okien leciały na ulice doniczki z kwiatami, naczynia kuchenne, podarta pościel, meble. Po całym mieście pełzała cuchnąca woń. Nocą harcowały po ulicach ogromne szczury. Pojawiły się stada wygłodniałych psów, które atakowały ludzi. Pracownicy miejskiej służby oczyszczania ulic, którzy już przed tym rozgardiaszem ledwie dawali sobie radę, teraz beznadziejnie rozkładali ręce, stojąc w obliczu uprzątnięcia gigantycznych gór śmieci z centrum miasta.

Ponieważ angolijskie escudo nie przedstawiały wartości w Portugalii, w ciągu kilku dni wykupiono wszystkie towary w sklepach i magazynach, ogołocono je nawet ze sznurowadeł. Portugalczycy naumyślnie uszkadzali windy, niszczyli linie telefoniczne, dewastowali cenne urządzenia techniczne, psuli maszyny produkcyjne, przybory medyczne. W toaletach umieszczali ładunki wybuchowe w bakach do wody.

10 listopada 1975 roku ostatnie oddziały armii portugalskiej opuściły miasto. Nastąpił moment najwyższego napięcia, długie godziny oczekiwań i niepewności. Na drogach prowadzących do miasta toczyły się zacięte walki, wystrzały rozlegały się także w samym mieście. Interwenci zajęli Kifangondo, gdzie znajdują się zbiorniki zaopatrujące miasto w wodę oraz urządzenia oczyszczające wodę. W tej niezwykle złożonej sytuacji w kraju, szarpanym ze wszystkich stron, ludność wykazała godny podziwu hart ducha i w pełni, masowo poparła MPLA.

Wieczorem tego dnia mieszkańcy „musekesz" — dzielnicy biedoty — ruszyli do centrum miasta. O północy na największym placu stolicy zapanowała głęboka cisza, mącona artyleryjską kanonadą. Na maszcie załopotała narodowa flaga Angoli. Przedstawiciel MPLA, Agostinho Neto, proklamował niepodległość kraju i ogłosił utworzenie Angolskiej Republiki Ludowej. Wtedy po raz pierwszy zabrzmiał narodowy hymn ARL.

Niezliczone problemy, które odziedziczyła nowa władza po kolonizatorach, częściowo już rozwiązano. Służba oczyszczania miasta funkcjonuje już sprawnie. Dla portowego miasta, i w dodatku w warunkach tropikalnego klimatu, ma to kolosalne znaczenie. W fabrykach i przedsiębiorstwach, usytuowanych w południowowschodniej części stolicy, przezwyciężając wielkie trudności, wznowiono produkcję. Dziś ludzie pracy w Angoli walczą o to, żeby zgodnie z decyzjami Zjazdu MPLA osiągnąć poziom produkcji z 1973 roku.

Do Luandy, najszerszych morskich wrót kraju, zawijają statki ze wszystkich stron świata. Kilka tysięcy pracowników portowych już dziś przepuszcza 85 procent ładunków w porównaniu z poziomem roku 1973. W międzynarodowym porcie lotniczym Belaz lądują samoloty pasażerskie Interflugu, Aerofłotu, Alitalii, Cubany, Air Algerie, francuskiej kompanii lotniczej UTA portugalskiej TAP i inne. Angolijskie samoloty odbywają regularne loty do Lizbony, Brazzaville, na wyspę Sal w Republice Wysp Zielonego Przylądka. Luanda jest także powiązana liniami powietrznymi ze wszystkimi prowincjami kraju. W stolicy wychodzi codzienna gazeta „Journal de Angola", co wieczór nadaje swoje programy angolijska telewizja. Znów uruchomiono 550-kilometrową linię kolejową, łączącą Luandę z rejonami plantacji kawy w Malange i Golungo.

Stolica dzieli się na 20 rejonów. Najważniejszy z nich — Baisza — jest zbudowaną przez Portugalczyków, nowoczesną dzielnicą z wysokimi gmachami ze szkła i betonu, a szerokie ulice toną w powodzi tropikalnej zieleni. Tutaj kiedyś usytuowały się banki i wielkie domy handlowe. Ale Luanda to przede wszystkim dzielnice biedoty, które zamieszkuje 75 proc. ludności stolicy. Te dzielnice długo jeszcze zachowają pamięć o kolonialnej historii kraju. Tutaj skupiły się małe domki z falistej blachy, z tektury, worków, skrzyń. Tutaj nie doprowadzono jeszcze wody i kanalizacji. Uciążliwym i do dziś nie rozwiązanym problemem miasta, jest brak autobusów i kierowców samochodowych.

Władze państwowe nie mogły rozwiązać tych wszystkich problemów od razu. Ale zrobiono już niemało. Otwarto szkoły. Państwo wzięło na siebie wydatki związane z lecznictwem. Siedem tysięcy bezrobotnych skierowano do pracy na wsi. W Luandzie uruchomiono 4 duże szpitale i 32 przychodnie lekarskie. Żebracy, których spotyka się na każdym kroku w wielu afrykańskich stolicach, są tu dość rzadkim zjawiskiem. We wszystkich dzielnicach i przedsiębiorstwach organizuje się kursy dla analfabetów. Mimo ogromnych trudności spowodowanych ciężkimi następstwami kolonializmu i stałym zagrożeniem ze strony RPA i Rodezji naród Angoli z powodzeniem buduje nową, niepodległą republikę.

(JC wg. „Deutsche Volkszeitung").

TYDZIEŃ W POLITYCE

Rozwój wydarzeń międzynarodowych od kilku miesięcy — niestety — nie skłania do optymizmu. Wypadki potoczyły się w kierunku wzrostu napięcia i dalszego dozbrajania. Stany Zjednoczone skłoniły swych sojuszników do zaakceptowania ich kursu w polityce zagranicznej, co zresztą, jak pisaliśmy, różnie załamało się w NATO — wyłomy powstały od razu i z pewnością będą się poszerzały. Prezydent Carter wszedł w kampanię wyborczą na fali zaostrzenia stanowiska i zamrożenia stosunków ze Związkiem Radzieckim. Koła militarne rozpętały w USA nastroje antyradzieckie, posługując się pretekstem wydarzeń afgańskich. Prawybory w niektórych stanach wykazują, że prezydent zbił na tym pewien kapitał i ma szanse nominacji swej partii na kandydującego z jej ramienia. Konwencja Partii Demokratycznej odbędzie się w sierpniu, a głównym rywalem Cartera, co przypominamy, jest E. Kennedy.

W Partii Republikańskiej, po wycofaniu się innych kandydatów, największe szanse ma z pewnością R. Reagan, cieszący się poparciem prawicy. Nadzieje na „przebicie" jego kandydatury wiązały się z b. prezydentem Fordem, ten jednakże w ostatnich dniach zrezygnował z aspiracji prezydenckich. Czy definitywnie? Odpowiedź na to pytanie, mimo jego oświadczenia, pozostaje jeszcze otwarta.

Zarysowaliśmy te złożoności życia politycznego w USA przede wszystkim dlatego, że **doświadczenie wskazuje na prymat w okresie przedwyborczym wewnętrznej sytuacji w Stanach Zjednoczonych nad ich polityką zagraniczną.** Inaczej mówiąc — w najbliższych miesiącach z pewnością ze strony Waszyngtonu nie należy oczekiwać poważniejszych zmian w jego kursie.

Tymczasem w bardzo wielu stolicach w świecie **występuje dążenie do kontynuowania linii odprężenia.** Stąd też każda inicjatywa, prowadząca w tym kierunku, przyjmowana jest z dużym zainteresowaniem.

Polska propozycja, aby Warszawa gościła europejską konferencję w sprawie odprężenia militarnego i rozbrojenia, wciąż utrzymuje się w orbicie zainteresowania Ostatnio agencje światowe odnotowały, że **na spotkaniu ze społeczeństwem stolicy i woj. warszawskiego, zamykającym kampanię wyborczą do Sejmu i Rad Narodowych, Edward Gierek ponowił swą inicjatywę,** stwierdzając:

„Warszawa i Polska ma prawo apelować o pokój i odprężenie, ma też wszelkie dane po temu, by stać sie miejscem europejskiej konferencji..."

W okresie wzmagania napięcia międzynarodowego każdy głos rozsądku ma swoją szczególną wagę. Głos Polski jest wezwaniem do kontynuowania procesu odprężenia i objęcia nim sfery militarnej. Dlatego o polskiej propozycji coraz głośniej...

W kolejności poświęćmy nieco uwagi politycznym działaniom Pekinu. Okazję po temu dają dopiero co zakończone rozmowy chińsko-amerykańskie. Otóż przez pięć dni przebywała w Waszyngtonie delegacja chińska na czele z wiceministrem spraw zagranicznych — Czang Wen-cinem. Według doniesień agencji — głównym tematem rozmów było ustalenie zasad stałych spotkań politycznych oraz problemy azjatyckie. Oczywiście, wiele miejsca zajął w tej dyskusji Afganistan.

Chińczycy oświadczyli, że tak jak dotąd nadal udzielać będą poparcia afgańskim rebeliantom i siłom antyafgańskim w Pakistanie. Zadeklarowali też własną pomoc dla rządu pakistańskiego. Co więcej — wyrazili przekonanie, że Waszyngton podejmie jeszcze bardziej zdecydowane kroki wobec Afganistanu i innych rejonów azjatyckich. Stany Zjednoczone natomiast ze swej strony zapewniły Pekin, że wzmocnią jego siły konwencjonalne przez dostawy samolotów i helikopterów, pojazdów opancerzonych i środków łączności. Cała wizyta — zrekapitulował nasz korespondent w Waszyngtonie — przebiegała pod znakiem niepokojących gróźb dla pokoju w Azji i militarystycznych aspiracji Pekinu.

Obrazu całości dopełnia stanowisko maoistów wobec rokowań z Wietnamską Republiką Socjalistyczną. Dwie dotychczasowe rundy nie tylko nie posunęły sprawy naprzód, ale, co więcej, dla Pekinu stały się trybuną ataków przeciwko Hanoi. Równocześnie trwają na przygranicznych obszarach różne prowokacje zbrojne. Stojąc na gruncie rzetelnych rokowań — strona wietnamska wysunęła propozycję rozpoczęcia trzeciej rundy w marcu lub kwietniu. Niestety — Pekin nie zareagował na tę inicjatywę. Padł więc nowy termin: 15 lipca. Czy i w tym czasie Pekin „nie będzie miał czasu"?

Już tylko na tych dwóch przykładach widać wyraźnie, **jak daleko poszły Chiny we wspieraniu sił przeciwnych pokojowej stabilizacji w świecie.**

W. SŁAWSKI

W Nowym Jorku sensację wywołuje nowy porno-film, „osnuty na motywach historycznych" — „Caligula", w którym bierze udział wielu znanych aktorów. Scena orgii (na zdjęciu) realizowana była w „grocie przyjemności" Tyberiusza na Capri.

ART BUCHWALD

„NIE BĘDĘ KANDYDOWAŁ"

— Tatusiu, czy kiedy dorosnę, będę mógł zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych?

— Oczywiście synu, każdy może zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

— Co powinienem zrobić jeśli zechcę zostać prezydentem?

— Po pierwsze, musisz oświadczyć krajowi, że chcesz kandydować na prezydenta ponieważ kraj potrzebuje dobrego przywództwa, uczciwości i rządów, których brakowało przez całe dekady. Musisz powiedzieć narodowi że czujesz, iż właśnie ty jesteś najlepszym człowiekiem, jaki powinien kierować przeznaczeniem narodu w niebezpiecznych czasach, w obliczu których się znaleźliśmy.

— Czy to wszystko?

— Nie, musisz zebrać dziesięć milionów dolarów, aby móc wystąpić w prawyborach.

— Jak mam to zrobić?

— Obiecasz ludziom wszystko czego pragną i powiesz im wszystko, co chcą usłyszeć. W ten sposób otrzymasz pieniądze.

— Czy to nie jest nieuczciwe?

— To jest polityka. Nie możesz zostać uczciwym prezydentem jeśli nie będziesz kłamał po to, aby dostać pieniądze i zostać wybranym. Nie patrz na mnie tak dziwnie. Mówię ci, jak sprawy stoją.

— Dlaczego potrzebuję tyle nieniędzy, aby zostać wybranym na prezydenta?

— Dlatego, że musisz zatrudnić dyrektora swojej kampanii i dysponować organizacją, która uświadomi wyborcom, że jesteś jedynym człowiekiem, nadającym się na stanowisko prezydenta.

— Co robi dyrektor kampanii?

— Mówi ci, gdzie masz się udać i co masz powiedzieć.

— Skąd ten człowiek wie, co powinienem powiedzieć.

— Ten człowiek ma w swoim sztabie specjalistę d/s badania opinii publicznej, który mówi mu, co ludzie pragną usłyszeć. Jeśli przemawiasz do starych ludzi, nie musisz dyskutować o problemie powołań do wojska. Jeśli przemawiasz do lekarzy nie powinieneś mówić o problemach zdrowia. Dyrektor kampanii powinien także organizować ugrupowania zbierające fundusze tak, aby być pewnym, że pieniądze płyną do kasy.

— Co robi sztab kampanii wyborczej?

— Pracuje dla ciebie dopóki są pieniądze. Gdy ich zabraknie, wyrzuca ludzi z pracy.

— W jaki sposób ludzie mają się dowiedzieć, że ja jestem najlepszym człowiekiem i najbardziej nadaję się prezydenta Stanów Zjednoczonych?

— Za pośrednictwem telewizji i prasy. Jeśli jesteś poważnym kandydatem, korespondenci telewizyjni i dziennikarze prasowi będą z tobą podróżowali po kraju. Na początek będą pisali o tobie tylko miłe rzeczy, potem jednak sami zaczną się trochę nudzić i wtedy będą pisali o tobie tylko przykre rzeczy. Jeśli to przeżyjesz, mogą się zdecydować dać ci nawet mocnego łupnia.

— Jakie przykre rzeczy będą pisali?

— Będą próbowali wykryć różne twoje brudne sprawy. Powinieneś prowadzić bardzo czyste życie, jeśli chcesz być prezydentem, albo możesz znaleźć się w poważnych kłopotach na resztę swoich dni, nawet jeśli przegrasz wybory.

— No dobrze, a co później mam robić?

— Musisz jeździć do różnych stanów i wygrywać prawybory, musisz zdobywać sobie łaski lokalnych delegatów, którzy będą głosowali na ciebie na konwencji twojej partii. Najważniejsze są zwycięstwa w pierwszych stanach, bowiem wtedy środki przekazu zadecydują, czy masz dostateczny rozpęd, abyś trafił na konwencję. Jeśli środki przekazu stwierdzą, że brak ci żyłki do wygrania wyborów, ludzie zaczną o tym mówić i przestaną posyłać pieniądze na twoją kampanię. Bez pieniędzy nie możesz brać udziału w wyścigu nawet jeśli bardzo chcesz i nawet jeśli naprawdę jesteś najlepszym człowiekiem.

— Co się dzieje na konwencji?

— Delegaci z danej partii spotykają się w dużym amerykańskim mieście, aby zadecydować, czy możesz być ich kandydatem. Noszą różne opaski, znaczki, balony, wznoszą wesołe okrzyki maszerując ulicami i wykrzykując nazwisko człowieka, którego lubią.

— Czy myślisz, że mogę przegrać, kiedy już przejdę przez tyle różnych kłopotów i trudności?

— Lepiej w to uwierz. Połowa ludzi, którzy kandydują na stanowisko prezydenta, przegrywa.

— Wiesz tatusiu, po tym wszystkim co mi powiedziałeś, myślę, że nie chcę być prezydentem.

— Dzięki Bogu, uszczęśliwiłeś swoją matkę i mnie.

(„International Herald Tribune")

PAMIĘĆ O EDWARDZIE SŁOŃSKIM

Zapomniani poeci Poeci, którzy na jakimś tam kilometrze epoki minęli się ze współczesnością. Albo raczej — to współczesność ich minęła zostawiając w tyle, w kurzu dróg, we mgle...

Tylko — tak naprawdę — co to znaczy „zapomniani poeci". Zapomniani przez kogo? A jeśli jest choć jeden czytelnik, który pamięta, który wiernie trwa przy tych wierszach — czy to nie wystarczy, aby odsunąć od poety okrutny epitet — zapomniany?

Nie wiem skąd się wziął — w środku okupacyjnej nocy — w domu moich rodziców tomik wierszy Edwarda Słońskiego „W więzieniu". Na okładce była czarna sylwetka siedzącego człowieka na tle kratownicy okna. Nie ma już tej książki — gdzieś zaginęła w licznych przeprowadzkach, ale pamiętam ją przecież, pamiętam te wiersze i nazwisko poety — Edward Słoński.

Był to pierwszy poeta, którego wiersze czytałem ledwo nauczywszy się składać litery. Po prostu chłopak uczył się czytać na wierszach Edwarda Słońskiego.

Był w tym jakiś grymas historii. Urodzony w roku 1936 — wzrastający w niewoli, uczyłem się czytać na jedynej książce, jaka w domu pozostała po niemieckich rekwizycjach polskich książek.

Nie było w naszym domu książek Mickiewicza, nie było bajek Andersena — była tylko ta jedna książeczka wydana w roku 1910, zatytułowana — „W więzieniu".

Zaginęła gdzieś potargana, rozsypująca się książeczka Słońskiego. Rychło zresztą przyszły inne, nowe książki — otworzyła się przede mną ogromna i urzekająca panorama polskiej poezji. Wiersze Słońskiego przyćmiły inne fascynacje — inni, z pewnością lepsi poeci. Ale nieraz odzywał się gdzieś z nienacka rytm jego strofy — pierwszej w moim życiu strofy poetyckiej zapamiętanej na zawsze.

Z dalekich tajg, skąd wicher dmie
orkanem
i strząsa śnieg z podbiegunowych lodów,
z mandżurskich pól porosłych gaolanem

z żołnierskiej krwi, z żołnierskich nędz
i głodów
śród huku dział, na stosach krwi i kości
wstała, jak sen, tęsknota do wolności...

Nie wiedziałem wtedy, co znaczą słowa — monastyr, Newa, sioło — do dziś nie bardzo wiem co to jest gaolan... Myślę jednak, że dowiedziałem się wówczas co to jest poezja i chociaż później poznałem poezję klarowniejszą i bardziej piękną — nie potrafiłem wyrzucić z pamięci tamtych pierwszych dziecięcych wzruszeń.

Po latach odnalazłem gdzieś w jakiejś książce notkę biograficzną Edwarda Słońskiego. Dowiedziałem się, że był zesłańcem — stąd pewnie ten azjatycki gaolan, będący pewnie jakąś rośliną — dowiedziałem się, że napisał wiele książek — powieści, poematów, wierszy... Dowiedziałem się, że Słoński był jednym z najpopularniejszych poetów okresu I wojny światowej — tom wierszy „Ta co nie zginęła" wydany w 1917 roku wyniósł poetę na szczyty popularności.

I oto po latach w PIW-owskiej serii „poetów zapomnianych" ukazuje się wybór wierszy Edwarda Słońskiego. Po blisko czterdziestu latach spotkaliśmy się znowu — on — mój pierwszy poeta, on — autor mojego okupacyjnego elementarza i ja. Jak wypadło to spotkanie z poetą — dla mnie przecież niezapomnianym?

Nie zawiódł mnie — choć wiele już przeszedłem fascynacji i wtajemniczeń poetyckich. Ktokolwiek, kiedykolwiek będzie się zastanawiał nad historią uczuciowości polskiej w epoce odzyskania niepodległości — nie będzie mógł ominąć tych wierszy.

Szczęśliwy los czy przypadek sprawił, że wiersze Słońskiego były mi elementarzem, ze wzruszeniem więc biorę do ręki tę niewielką książeczkę. Ze wzruszeniem i zadumą, bo dziś wiem jeszcze i to, że ten najgłośniejszy poeta I wojny — sławiony przez Brücknera, Borowego, Zawodzińskiego — poeta o którym pisano, że pierwszy wznowił pieśń żołnierską — zmarł w niedostatku i zapomnieniu.

WIDOK

MUZEUM NA WSI

Chwaliliśmy się kiedyś, że mamy znakomicie rozwinięte konserwatorstwo sztuki, że inni przyjeżdżają do nas po naukę i doświadczenia. I to była prawda. Ale obok tej prawdy była i inna. Potrzeby w restaurowaniu zabytków okazały się większe od możliwości. Teraz musimy wspólnym wysiłkiem całego kraju restaurować Kraków, Zamość i inne pomniejsze dowody naszej wcale niezłej przeszłości. Potrzebujących pomocy konserwatora zabytków ustawia się w kolejce coraz więcej. Jest to też wpływ cywilizacji, która, szybciej niż to działo się do tej pory, niszczy pomniki przeszłości.

W tej sytuacji cieszy, kiedy dowiadujemy się, że jakaś instytucja, albo nawet osoba prywatna zaopiekowała się zabytkowym dworkiem i odrestaurowała go na własny koszt. A takich przypadków jest coraz więcej. Do grona tych, którzy na własny koszt odbudowują zabytki i przywracają im dawną świetność, zapisał się też aktor Wojciech Siemion. Kupił sobie dworek w Petrykozach. Petrykozy leżą w gminie Żabia Wola, w województwie skierniewickim. Wojciech Siemion dworek odrestaurował i zrobił tam „pierwszą prywatną wiejską galerię sztuki". Takie małe wiejskie muzeum sztuki. Teraz restauruje 9-hektarowy park.

W rozwoju muzealnictwa też „jesteśmy dobrze". Jeszcze w 1960 roku mieliśmy wszystkiego 185 muzeów. Już w 10 lat później było ich 335. W 1978 roku —408. W tym 360 muzeów należy do państwa, 41 — do różnych organizacji społecznych, kulturalnych, regionalnych, a 7 „Rocznik Statystyczny 1979" umieszcza w dziale „inne". I można sądzić, że są tu również muzea prywatne, których kilka przecież w Polsce jest, a niektóre z nich przeszły już na państwowy garnuszek. Jak choćby muzeum krośniewickiego aptekarza, mgr Dunina-Borkowskiego, które stało się filią Muzeum Narodowego.

Czy za tym ilościowym rozwojem naszego muzealnictwa idzie także rozwój jakościowy, merytoryczny? Niewątpliwie tak. Przykładem tego mogą być poczynania Muzeum Sztuki w Łodzi, czy Muzeum Historii Miasta Łodzi, które to muzea nie ograniczają się tylko do gromadzenia eksponatów muzealnych, nie tylko je eksponują w miarę możliwości, ale też dążą do tego, aby muzea stały się ośrodkami życia kulturalnego, a nie tylko pustymi salami wystawowymi. Czy ta dążność do nadania nowoczesnego kształtu muzeum jest powszechna, czy tak się dzieje też w innych ośrodkach, to już inna sprawa. Faktem jest, że Muzeum Sztuki mogłoby wystąpić z wieloma ciekawymi pomysłami, gdyby się ziściło nasze marzenie o nowym lokalu dla tego muzeum. Ale to też inna sprawa.

W „Przekroju" (9.III.1980) przeczytałem niewielki artykulik o wiejskiej galerii Wojciecha Siemiona. Popularny aktor przez dwadzieścia kilka lat zbierał dzieła sztuki ludowej, obrazy z końca XIX i początku XX wieku oraz obrazy współczesne. Zgromadził je w Petrykozach i nie chowa przed oczyma ciekawych. Chwała mu za to.

„Jak funkcjonuje galeria? — pisze „Przekrój". — Otóż w zasadzie czynna jest tylko w poniedziałki. Wtedy bowiem gospodarz, aktor, dyrektor teatru, wykładowca warszawskiej PWST może pełnić rolę kustosza. Od tego dnia mogą być jednak wyjątki, gdyż kalendarz Siemiona jest wyjątkowo obciążony".

Przez pół roku istnienia galerii zwiedziło ją przeszło tysiąc osób. Jeśli przyjąć, że była czynna co poniedziałek i że odwiedziło ją tylko 1000 osób, to na jeden poniedziałek przypada 38 zwiedzających. To jest sporo. „Działacze województwa skierniewickiego — pisze „Przekrój" — starają się wykorzystać galerię jako ośrodek pracy kulturalnej". I to jest też pięknie. Ale Wojciech Siemion „boryka się z tym wiejskim siedliszczem niemało i kłopotów mu nie ubywa". Nic więc dziwnego, że „trudności często przerastają jego możliwości". Bez wątpienia Wojciech Siemion stworzył nową jakość w wiejskiej panoramie kulturalnej. Ale mam wątpliwości, czy już teraz należałoby nadawać temu przedsięwzięciu tak wysoką rangę. Takie postawienie sprawy — jak słusznie zauważa „Przekrój" — „wymaga całościowych rozwiązań i większego zainteresowania mecenasów kultury, a także realnej pomocy ze strony władz". Tylko, czy wtedy będzie to prywatna wiejska galeria Wojciecha Siemiona?

Podziwiam tych, którzy z pasją zbierają dzieła sztuki. Mam dla nich pełne uznanie, jeśli chcą swoje zbiory pokazywać ciekawym, bo to tylko kłopot. Ale wydaje mi się, że wszelkie ambicje zakładania prywatnych muzeów czy galerii sztuki przerastają możliwości jednego człowieka. Już choćby ze względu na to, że takie zbiory wymagają opieki konserwatora. I dlatego prędzej czy później muszą się znaleźć pod opieką państwa. Niech to jednak zbieraczy nie przeraża. Ich pasje znajdą nasze uznanie.

MARCIN RODAK

ZAMIAST FELIETONU

Rys. Andrzej Tylczyński

MOŻE WARTO NIEKTÓRYM ZESPOŁOM PRZYWRÓCIĆ STARĄ NOMENKLATURĘ — TRUPY TEATRALNE? ● A GDYBY TAK POZIOM WIELU PRZEDSTAWIEŃ MIERZYĆ OD DNA ZAPADNI? PODOBNO GDZIEŚ ISTNIEJE DOM OPIEKI DLA ARTYSTÓW UBOGICH DUCHEM... ● RYSOWAŁ POSTAĆ OSTRĄ KRESKĄ... RANY CIĘTE OPATRZONO MU W CZASIE ANTRAKTU. ●

1/3 mini magazynek

FRASZKA TEATRALNA

Febra zwykle mną trzęsie
albo inna cholera,
gdy po dobrych
recenzjach
jest niedobra premiera.

ROZMÓWKA

Rzekła druga raz do
pierwszej:
– Sąsiadeczko miła!
Na „Weselu" wczoraj
z mężem,
Canettiego byłam...
— Ja nie mogłam —
na to pierwsza:
Chora moja mała...
Ale też nie jestem
gorsza;
życzenia posłałam!

FRASZKA FILMOWA

W. Disney — „Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków".

Nie przesadza panna
Śnieżka,
gdy z siedmioma na
raz mieszka?!

MYŚLI ZZA KURTYNY

* * *

Ubolewał autor, że publiczność nie dopisała... No, a gdyby nawet, to i tak byłby kłopot. Z podziałem tantiem.

* * *

Monologista — długoletni estradowiec, który sądzi, że słuchacze mają krótszą pamięć od niego.

* * *

A jednak jest teatr, w którym wywyższanie się jest niedopuszczalne. Teatr liliputów.

* * *

Panie magistrze! Wyżej tę halabardę...

Hamlet miał rację

W czasie końcowych prób „Hamleta" w Teatrze Nowym, w scenie Klaudiusza i Hamleta, których grali Seweryn Butrym i Michał Pawlicki, byliśmy świadkami takiej oto formalnej sypki aktorskiej...

Butrym: To, coś uczynił, wymaga, ażebyś czyn ten niezwłocznym opłacił wyjazdem. Gotuj się przeto: okręt pod... p a r ą, wiatr sprzyja.

Pawlicki: Nie było pary.

Butrym: Co mówisz, Michałku?

Pawlicki: Nie było jeszcze pary panie Sewerynie!

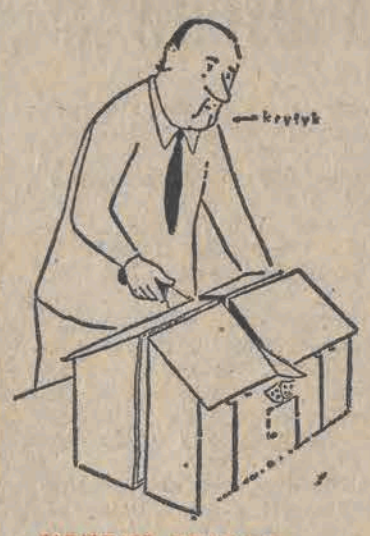

KRYZYS TEATRU

Rys. Andrzej Adamowicz

Który

Jeden z młodych aktorów, wyliczając swój dorobek artystyczny wymieniał często i uparcie rolę Którego w Szekspirowskim „Hamlecie". Gdy starsi koledzy kręcili głowami z niedowierzaniem mówiąc, że pierwszy raz słyszą o takiej postaci, przysięgał, że właśnie do niego Król zwracał się tymi słowy: „Niech no tam k t ó r y skoczy i przyniesie!

Trudność artykulacji

Kiedy Jerzy Antczak prowadził przed laty Teatr Łódzkiej TV, jeden z portierów permanentnie zwracał się do niego per: Panie Redaktorze! Jurek zapytał go wreszcie dlaczego tytułuje go redaktorem, kiedy wszyscy wiedzą, że jest reżyserem...

— Ja wiem, proszę pana — odpowiedział indagowany — ale reżyser to tak trudno wypowiedzieć.

Refleks

W czasie przedstawienia „Sztygara" Zellera w Teatrze Muzycznym zacięły się drzwi w zastawce markującej Dom Górnika. Po dłuższym mocowaniu się z oporną materią Zbyszek Waloch, śpiewający tytułową partię, obmacując ścianę zawołał nie tracąc rezonu: — Jezus, Maria... Zamurowali nas!

Ewa i Borys

Kiedyś Ewa Mirowska złapała chrypę i mówiła prawie basem. Bociek Wróblewski zażartował: — Dziś wieczorem śpiewasz podobno „Borysa Godunowa" w Warszawie?!

Obecny przy tym dyrektor Feliks Żukowski, zdezorientowany mnogością aktorskich zajęć zajrzał do kalendarzyka i powiedział: — Niemożliwe, proszę pana, przecież o 16 gramy u nas popołudniówkę „Wieczór Trzech Króli".

Pan Tadeusz

Tadeusz Minc, niegdyś aktor Teatru Nowego, obecnie reżyser, znany w środowisku teatralnym ze swego roztargnienia umawiając się z Andrzejem Mayem na dodatkową próbę zaproponował, żeby ten zadzwonił przedtem do niego. Przypomniawszy sobie jednak w czasie rozmowy, że Andrzej nie ma jeszcze telefonu, powiedział.: — W takim razie ja do ciebie zadzwonię!

Fucha

— Była przed chwilą pani z teatru — powiedziała żona. — Masz się skontaktować w sprawie zastępstwa!

Wracałem właśnie z próby i o niczym takim nic mi nie było wiadomo... A rzecz wyglądała następująco. Jeden z naszych portierów zachorował i przysłał swoją połowicę do sekretariatu, aby dowiedziała się o adres Jędrzejewskiego. Chodziło jednak o przezacnego pana Kazimierza, portiera Teatru im. Jaracza którego chciała prosić w imieniu chorego małżonka o zastępstwo w dyżurze...

Nie wiem, kto tu co pokręcił. Wiem tylko tyle, że fucha przeszła mi koło nosa!

Teksty
ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11 kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680 99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 637. G-2.